



LEGENDY

KUJAW I POMORZA

2017



LEGENDY

KUJAW I POMORZA

A thin vertical line is positioned below the text, extending downwards from the bottom of the text block.



Szanowni Państwo,

województwo kujawsko-pomorskie łączy wiele odrębnych historycznie, kulturowo i geograficznie regionów, niezwykle różnorodnych, o złożonej, a często niełatwej historii. Kiedy ponad 20 lat temu w wyniku reformy administracyjnej utworzono w Polsce 16 województw, granice między nimi wydawały się nieco sztuczne i początkowo trudno było sobie wyobrazić, że w ten sposób utworzone regiony, kiedyś będą tworzyły spójne regionalne wspólnoty. Dziś wiemy, że to właśnie różnorodność kulturowa stanowi o rzeczywistym bogactwie województwa kujawsko-pomorskiego. Przykładem tego mogą być legendy zebrane przez pasjonatkę historii i gawę-

dziarkę Małgorzatę Jarocińską, wydane w pięknie ilustrowanej publikacji „Legendy Kujaw i Pomorza”.

Legendy przez wieki były przekazywane ustnie przez kolejne pokolenia mieszkańców krain wchodzących dziś w skład naszego województwa i stanowią integralną część naszego dziedzictwa kulturowego, naszej zbiorowej pamięci, wyobraźni, języka i tożsamości. Przechowują nie tylko dawne legendarne dzieje, ale także przekazują nam wiele życiowych mądrości naszych przodków, pokazują ich życie i świat wartości.

Legendy przedstawiają lub inspirowane są prawdziwymi wydarzeniami, a po części ukazują wizję świata, jakiego pragnęliby, bądź o jakim marzyli, dawni mieszkańcy terenów wchodzących dziś w skład województwa kujawsko-pomorskiego. Tłumaczą nazwy, herby, zwyczaje i tradycje wielu miejscowości. Nie mając jednego autora, wyrastają ze zbiorowej pamięci, opisują wydarzenia ważne nie dla jednostki, ale dla całej zbiorowości zamieszkującej dany obszar.

Zapraszam do lektury i zanurzenia się w świat zaklęć, ukrytych skarbów, mrocznych miejsc i niezwykłych postaci. Pamiętajmy przy tym, że to wszystko działo się tu, gdzie teraz mieszkamy. To tamte wydarzenia i tamci ludzie, i ich decyzje wpłynęły na naszą tożsamość, na to, kim dzisiaj jesteśmy i na to, że tak różni pod względem kulturowym i etnicznym, możemy dziś czuć się wspólnotą, która nie jest jednorodna, ale która, szanując odrębność więzi łączących poszczególne krainy i rozumiejąc występujące różnice, tworzy nowe tradycje i buduje wspólną przyszłość.

Elżbieta Piniewska

Przewodnicząca Sejmiku Kujawsko-Pomorskiego



Drodzy Czytelnicy,

kujawsko-pomorskie zadziwia swoją różnorodnością! Mamy tutaj zarówno wspaniałą naturę, jak i wyjątkowe zabytki – neolityczne grobowce, średniowieczne zamki, gotyckie kościoły czy dziewiętnastowieczne twierdze. Nasza mała ojczyzna zachwyca także bogactwem lokalnych tradycji w regionach etnograficznych – Krajnie, Kociewiu, na ziemi chełmińskiej, ziemi dobrzyńskiej, na Pałukach, w Borach Tucholskich i największym z nich, na Kujawach.

Choć dziedzictwo niematerialne jest bardziej ulotne, zawarta w nim historia naszych przodków wymaga troski o jej zachowanie. To ko-

nieczność pielęgnowania ludowych tradycji i zanikających umiejętności rękodzielniczych przekazywanych z pokolenia na pokolenie. To także legendy – często powstawały przed wiekami i przetrwały przekazywane latami, z ust do ust, przez całe pokolenia mieszkańców tych ziem.

W dziewiętnastym wieku, wraz z rozwojem czasopism i upowszechnieniem książek, zaczęto je spisywać i utrwać w druku. W ten sposób weszły do kanonu literatury. Najczęściej związane są z dziejami większych miast, ale jak się okazuje także mniejsze miejscowości mogą być pełne tajemnic i ciekawych historii.

Dobrym wstępem do poznawania historii i dziedzictwa kulturowego województwa może być lektura prezentowanych w wydawnictwie legend. Odnaleźć w nich możemy bogactwo miejsc oraz ciekawych postaci – od tych najbardziej znanych: króla Popiela z Kruszwicy, toruńskiego flisaka i Mistrza Twardowskiego w Bydgoszczy, do bardziej lokalnych bohaterów: nakielskiego kucharczycy Wawrzonka, rycerza Arnolda z Mroczy i Kasieńki z Kcyni.

Dajmy się więc ponieść wyobraźni, „wędrując” po kartach książki, poznając tajemnicze i wspaniałe opowieści z Kujaw i Pomorza. A może właśnie na tych spisanych legendach najmłodszy mieszkańcy naszego województwa będą uczyli się czytać?

Piotr Całbecki

Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego



LEGENDY

KUJAW I POMORZA

TEKSTY | MAŁGORZATA JAROCIŃSKA, KRYSZYNA TRUSZCZYŃSKA

ILUSTRACJE | TOMASZ ŚCIOLNY

QUIXI MEDIA
www.quixi.pl

- 4** O WZGÓRZU ŚW. WOJCIECHA W BARCINIE.
- 9** JAK ANIELA I JAKUB BOBROWO ZAŁOŻYLI.
- 14** O OKOLICZNOŚCIACH UFUNDOWANIA KOŚCIOŁA FRANCISZKANÓW W BRODNICY.
- 19** JAK ZAŁOŻONO MIASTO BYDGOSZCZ.
- 23** O ANGELICE Z BYDGOSKIEGO ZAMKU.
- 27** O DOBREJ RZECZCE BRDZIE. (BYDGOSZCZ)
- 30** O MISTRZU TWARDOWSKIM W BYDGOSZCZY.
- 35** DUCH BERNARDA SZUMBORSKIEGO W CHEŁMIŃSKIEJ BASZCIE. (CHEŁMNO)
- 41** O GLINIANYM KUBECZKU W CHEŁMŻY.
- 45** SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA CIECHOCINEK?
- 48** LEGENDA O MIECZU „BONUM ET FELICITATEM”. (GNIEWKOWO)
- 54** JADWIGA PRZY STUDNI. (GRUDZIĄDZ)
- 57** PRZEPOWIEDNIA KRÓLOWEJ JADWIGI. (INOWROCŁAW)
- 61** O CUDOWNYM KRUCYFIKSIE W KCYŃSKIM KOŚCIELE.
- 66** SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA GRABINA? (KORONOWO)
- 71** O POPIELU, KTÓREGO MYSZY ZJADŁY. (KRUSZWICA)
- 77** JAK KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO MOGILNU PRAWA MIEJSKIE NADAŁ.
- 82** SKĄD SIĘ WZIĘŁA OWCA W HERBIE MROCZY?
- 87** JAK NAKIELSKI KUCHARCZYK KRZYŻAKÓW SPOD ZAMKU PRZEPĘDZIŁ. (NAKŁO)
- 92** O PECHOWEJ MONECIE ZE STRYSZKA. (NOWA WIEŚ WIELKA)
- 97** JAK KAZIMIERZ WIELKI SĘPÓLNU PRAWA MIEJSKIE NADAŁ.
- 102** O TYM JAK WOJDYŁŁO DUSZĘ DIABŁU ZAPISAŁ. (SICIENKO)
- 107** KAMIEŃ STRZELEŃSKI ŚW. WOJCIECHA.
- 110** O ROZBÓJNIKU DĄBKU ZE STRZELNA.
- 115** O SILE MATCZYNEJ MIŁOŚCI. (SZUBIN)
- 119** JAK POWSTAŁO MIASTO ŚWIECIE NAD WISŁĄ.
- 123** DLACZEGO W HERBIE TORUNIA ZNAJDUJE SIĘ ANIOŁ?
- 130** O KRZYWEJ WIEŻY W TORUNIU.
- 134** O TORUŃSKICH KATARZYŃKACH.
- 138** O TORUŃSKIM FLISAKU.
- 142** DLACZEGO W HERBIE TUCHOLI ZNAJDUJE SIĘ ŚW. MAŁGORZATA?
- 146** O SKARBACH Z ZAMKOWEGO JEZIORA W WĄBRZEŃNIE.
- 152** O ZAGINIONYCH DZWONACH WE WSI WRONIE. (WĄBRZEŃNO)
- 156** SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA WIĘCBORK?
- 160** O SILE OJCOWSKIEJ MIŁOŚCI. (WŁOCŁAWEK)
- 163** O STRAŻNIKU ŻNIŃSKIEGO RATUSZA.



O WZGÓRZU ŚW. WOJCIECHA

Cheąc podziwiać panoramę Barcina i doliny Noteci, należy wspiąć się po wygodnych schodach na Wzgórze Świętego Wojciecha, na którym znajduje się Pomnik Serca Jezusowego. Z miejscem tym wiąże się pewna legenda.

W początkach państwa polskiego szedł przez Barcin szlak z Wielkopolski na Kujawy i Pomorze. W pierwszych dniach kwietnia roku Pańskiego 997 pojawił się w Barcinie biskup Wojciech. Pochodził z Pragi, ze sławnego rodu Sławnikowiców. Rok wcześniej przybył on do Gniezna na dwór księcia polskiego Bolesława i przedstawił mu pomysł chrystianizacji pogańskich ludów, zwanych Prusami, a zamieszkujących ziemię leżącą na północ od Polski. Zamierzał też biskup sprawdzić, czy przyjęty w 966 roku przez księcia Mieszka I chrzest, zakorzenił się już wśród polskiego ludu, czy też przeważają w nim jeszcze pogańskie wierzenia. Z Gniezna wyruszył z bratem Gaudentym, a książę Bolesław dał mu, dla bezpieczeństwa, eskortę wojskową. Biskup szybko przekonał się, że chrześcijaństwo na ziemiach polskich jest kruchutkie jak witka na wietrze, więc wszędzie, gdzie tylko się zatrzymywał, głosił Słowo Boże.



Kiedy pojawił się w Barcinie dzień był chłodny i deszczowy. Tegoroczna wiosna nie rozpieszczała nikogo i jak dotąd „kwiecień-plecień” nie przepłatał swoich zimnych dni z tymi łaskawymi dla ludzi i natury. Ale jedno w Barcinie wszystkich zdumiewało: w ogródku małej Kundzi, tej co mieszkała z chorym dziadkiem pod laskiem, zaroilo się od wiosennych kwiatów: krokusów, przebiśniegów, ciemierników, miodunek.

Tymczasem biskup Wojciech wkroczył do karczmy Witka, zwanego Kossem, ponieważ potrafił pięknie naśladować śpiew tego ptaka. Wieść o przybyciu nieznanym, lotem błyskawicy dotarła do wszystkich domów. Ludzie tłumnie przybywali do karczmy, by słuchać głoszonej przez biskupa Dobrej Nowiny. Karczma okazała się za małym pomieszczeniem dla chętnych, którzy łaknęli ewangelizacji. Bo przecież ich, na ogół ubogich ludzi, słowa Jezusa Chrystusa, głoszone ustami duchownego, napawały otuchą.

– Pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi.

Naprawdę? Dla nich, którzy często nawet jednej krówki nie mieli, ma być Królestwo Boże? Gdy nocą rozchodzono się do domów, ci którzy stali przy samych drzwiach, mówili:

– Nie wszystko słyszeliśmy, a wielu z naszych nie mogło z powodu ciasnoty wejść do środka, a też byli ciekawi, o czym prawi biskup. Za mało miejsca u Witka... Ale większej izby w całym Barcinie nie znajdziesz. Najlepsze byłoby wzgórze, jednak zimnisko trzyma i nikt tam długo nie ustoi...

Małej Kundzi dopisało szczęście, bo gdy biskup mówił o tych wszystkich pięknych, choć czasami smutnych zdarzeniach z Jezusem związanych, ona znajdowała się tuż przy nim. Patrzyła w jego natchnione oczy i czuła, że ogarnia ją bezgraniczna radość. Nie potrafiła wytłumaczyć sobie, dlaczego tak się dzieje. Była przecież ubogą sierotą, mieszkała w lichej chatce z chorym dziadkiem, nie rosła, choć miała już 14 lat!

Mimo późnej pory, po powrocie do domu, Kundzia nie chciała iść jeszcze spać. Pobiegnęła do swojego ogrodu. Gwiazdziste niebo oświetlało

cudne przebiśniegi, krokusy, miodunki i ciemierniki. I nagle pewna myśl zaświtała w jej głowie. Pochyliła się nad kwiatkami, z których była tak dumna i zaczęła je rwać. Wypełniły one kieszonki jej fartuszka i drobne rączki. Kilka z nich zatknęła nawet za uszami i udała się w stronę wzgórza, na którym ten cały swój skarb, największy jaki kiedykolwiek posiadała, rozsypała.

– To dla Jezuska – szeptała w uniesieniu. – Na Jego chwałę...

Nazajutrz obudziło ją iście wiosenne słońce. Kundzia zerwała się na równe nogi.

– Dziadziusiu, już robię ci śniadanie! – zawołała.

– Wnusiu, już sobie zrobiłem – odpowiedział dziadek spokojnym głosem. Kundzia ze zdumienia przecierała oczy.

– Dziadku! Nie leżysz w łóżku, a siedzisz przy stole tak, jak to było za dawnych, dobrych lat!

– Kundziu, kiedy w nocy wróciłaś do domu i pochyliłaś się nade mną, poczułem, że wraca mi dawna siła, a nogi dotąd bezwładne, zaczynają się ruszać. Nic z tego nie rozumiem...

– A ja tak! – zawołała uszczęśliwiona dziewczynka i uściskawszy tak bardzo kochanego człowieka, wybiegła z domu. Nagle stanęła jak wryta. Wzgórze, które tej nocy obsypała kwieciami ze swojego ogródka, wyglądało jak wielobarwny kobierzec, na który wstępował właśnie biskup Wojciech. Dzień był cudny i wszyscy barcinianie mogli wsłuchiwać się w jego pokrzejące słowa. I powtórzyło się to jeszcze dnia następnego. A potem ów misjonarz, rodem z Praги, obdarowany tym, na co ludzi było stać, ruszył w dalszą drogę. Odtąd barcinianie nadal przybywali na wzgórze, czując, że bije z niego jakaś wielka siła, dająca im moc.

Pewnego dnia dotarła do Barcina wstrząsająca wiadomość. Biskup Wojciech, który po przybyciu do Gdańska odesłał daną mu przez księcia Bolesława wojskową eskortę, po wkroczeniu na pruską ziemię został zamordowany! Poniósłszy męczeńską śmierć, uznany został wkrótce za świętego.

Kiedy wóz, wiozący jego ciało, znalazł się w okolicy Barcina, konwojujący go jeźdźcy chcieli, dla skrócenia drogi, ominąć gród. Jednak konie uparcie parły w tę stronę i gdy znalazły się u podnóża wzgórza, nagle stanęły. Kwitło już ono innymi kwiatami, ale wyglądało przepięknie, a ktoś szepnął: jak w raju... Konie tymczasem stały nieporuszenie. W końcu jeden z wojów otaczających wóz oznajmił:

– Prusowie za ciało świętego Wojciecha zażądali tyle złota, ile ono waży. Ten wykup miał się odbyć w Gnieźnie, ale widać, że Niebiosy zdecydowały inaczej.

Pod wzgórzem ustawiono wielką wagę: na jednej szali umieszczono ciało męczennika, na drugą zaczęto sypać złoto. Nie potrafiiono jednak doprowadzić do zrównania szal, zawsze któraś z nich przechylała się na jedną lub drugą stronę. W pewnej chwili pojawiła się pod wzgórzem wdowa po kowalu Marcinie. Znali ją tu wszyscy i szanowali, bo zacna to była kobieta, nigdy nikomu nie ubliżyła, a dobrym słowem lubiła obdarowywać. Kiedy zobaczyła chwiejące się raz na prawo, raz na lewo szale, dorzuciła do stosu złota swój wdowi grosz, ostatni jaki posiadała. I wtedy z wszystkich gardeł rozległ się okrzyk pełen zdumienia:

– Oooooo! Szale wyrównały się.

Wkrótce konie, ciągnące wóz z trumną, ruszyły w stronę Gniezna, gdzie ze względu na obecność tam ciała świętego Wojciecha, powstało pierwsze w Polsce arcybiskupstwo. Mieszkańcy Barcina jeszcze długo wspominali wszystkie niezwykle wydarzenia, związane z biskupem Wojciechem i jego męczeńską śmiercią. Z wielkiej potrzeby serca przychodzili w miejsce, które nazwali Wzgórzem Świętego Wojciecha. ♦



BOBROWO

JAK ANIELA I JAKUB BOBROWO ZAŁOŻYLI

Jak powstało Bobrowo? – wielu się zastanawia. Domyślcie się zapewne, że miejsce coś z bobrami wspólnego mieć musi. Tylko co? Niektórzy, starsi mieszkańcy tej ziemi powtarzają: – Bobry tu łowiono, wielkie jak sarenki. Kupcy z daleka zabiegali o cenne futra. A że mięso ich nie lada przysmakiem było na książęcych stołach – poławiano je w okolicznych wodach i stąd nazwa się wzięła. Ot, tyle.

Tak być mogło, jednak nie musiało. To najprostsze wytłumaczenie, ale jak się domyślcie, nie jest jedyne i wcale nie najbardziej ciekawe. Być może więcej prawdy kryje się w pewnej starej legendzie, którą mieszkańcy Bobrowa z pokolenia na pokolenie sobie przekazują. Może raczej w niej tkwi jakaś część prawdy na temat prastarych dziejów powstania wsi?

Historia ta zaczyna się dawno temu, gdy na ziemiach bobrowskich nie było jeszcze żadnego człowieka. Jak okiem sięgnąć, wszędzie drzewa i drzewa. Bujny las rozciągał się daleko, ale jak mu się lepiej przyjrzeć, znaleźć by tam można wzgórze w kształcie grzybka, usytuowane pomiędzy dwoma jeziorami: Oleczno i Grzywinek. Ani kawałek ziemi uprawianego ręką ludzką nie było. I przyznać trzeba, że w tej odwiecznej dzicy wyczuwało się niespotykane piękno.



Aniela i Jakub zatrzymali się w tym miejscu. Ubiór i mowa zdradzały, że byli to Polacy. Ale wygląd ich – na żadne pochodzenie nie wskazywał. Z postawy silnie zbudowanego Jakuba biła szlachetność. Aniela natomiast, cokolwiek by nie robiła, emanowała gracją, wdziękiem i pięknem. Skąd przywędrowali w te strony? – nie wiemy.

Gdy zmęczeni drogą usiedli nad jednym z jezior, zapadał już wieczór – spokojny i piękny, jak w żadnym miejscu, które wcześniej odwiedzali. Ciszę przerywały jedynie pohukiwania puszczyków i rechot żab. Z oddali dobiegały szelesty łamanych gałęzi.

– Pewnie to rysie, wychodzą na żer. Zobacz jak wiele zwierząt w tutejszych lasach. Widziałem tury, żubry, wilki i niedźwiedzie – wyszeptał Jakub.

– To prawda – potwierdziła towarzyszka – a spójrz na te wielkie ptaki, kołujące nad nami. Nie widzę dokładnie, ale muszą to być orły i jastrzębie. Jezior tu obfitość i strumieni bogatych w ryby wiele. Wody i pożywienia będziemy mieć pod dostatkiem. Czyż nie wspaniale byłoby tu zamieszkać? Tylko pomyśl – dom, zagroda, ogród z biegającymi dziećmi... Czego więcej nam trzeba?

– Czemu nie, najdroższa. Zostańmy! – odpowiedział radośnie Jakub, uśmiechając się do coraz bardziej klarownej przyszłości.

Przyroda, nienawykła do tego by człowiek dyktował jej warunki, wcale nie tak łatwo chciała poddać się ludzkiemu panowaniu. Jakub pracował jednak ciężko i stale powtarzał sobie:

– Wytrwały jestem. Powoli, systematyczną pracą cel osiągnę.

Rąbał zatem drzewa, ciosał, budował – i tak mijały mu dni, od świtu do nocy. Ale czy sam jego upór wystarczyłby? Czy odniósłby sukces, gdyby nie bobry? Wydawać by się mogło, że zawarły z Jakubem potajemny sojusz.

– To moi mniejsi pomocnicy – chwalił się Aniela, gdy ta wracała z koszami dzikich jabłek i orzechów. – Wiesz, że większość drzew w tym lesie wcale nie ja wyrąbałem, lecz one?

– Naprawdę? – niedowierzała dziewczyna. – Chyba cię lubią te zwierzęta. Troszkę to dziwne, ale może rzeczywiście tak jest...

– Rano ruszam w las, a tam co widzę? Co krok leżą nowe, ścięte drzewa! Ile pracy one mi zaoszczędzają! – opowiadał z przejęciem mężczyzna.

I żyli tak sobie Jakub z Anielą, zgodnie z prawami natury, w cichym sojuszu ze zwierzętami – odwiecznymi mieszkańcami tych lasów. Ani się obejrżeli, gdy pod jednym z drzew wyrosła drewniana chatka. Tam zamieszkali. Zbudowali też zagrodę, w której trzymali bawolicę. Pyszne mleko dawała. Tak mijały lata, a rodzina ciągle się powiększała. Potomkowie również budowali i pomnażali stada Jakuba i Anieli. Ród rozmnażał się szybko, natomiast oni starzeli się. Wspólna wytrwała praca sprawiła, że pośród leśnej głuszy stanął spory gród, otoczony fosą.

Od czasu do czasu, wędrowcy do nich zaglądali, o nocleg prosząc. Nikt nigdy z kwitkiem odprawiony nie został.

– Piękną osadę wznieśliście – dziwili się.

– Gość w dom, Bóg w dom – powiadał Jakub. I tej zasady się trzymał.

Niektórzy z tych podróżników do króla potem zachodzili i opowiadali:

– Królu! Ostatnio, jak żeśmy tamtędy przejeżdżali tylko drzewa były, gęsty las i nic więcej. Teraz warownia stoi najprawdziwsza – z fosą! Dasz wiarę?

Władca wiele już widział w swym życiu i niejedną wieść słyszał. Ta jednak wiadomość zdziwiła go.

– Na takich terenach! Nie do wiary! Niech się wojowie szykują, droga co prawda daleka, jednak sprawdzić to trzeba. Jutro wyruszamy! – rozkazał król.

Jechali długo, a celu podróży jak nie widać, tak nie widać. Aż nagle, drzewa zaczęły się przerzedzać, tu i ówdzie pokazywały się polany, aż las kończył się zupełnie. Ich oczom ukazała się złocista równina, okryta ścierniskiem po minionych żniwach. W miejscu dziewięcioletniego boru, pośród pól, dumnie wznosił się gród obronny. Zdziwili się ogromnie, widząc, że ze sto domów na podgrodziu stoi. Wszystkie oddzielone od siebie zadbanymi

ogrodami. „Dobrze się tu żyć ludziom musi” – pomyślał władca. „Na pagórkach dwa wiatraki z kręcącymi się skrzydłami, a na łąkach stada koni, krów i owiec.”

Monarcha pogładził sędziwa brodę: – Nie do wiary, kto tego dokonał? Jedźmy bliżej! – rozkazał.

– Królu! Jakie ciekawe umocnienia! – spostrzegł jeden z żołnierzy, gdy zbliżyli się do obwarowań.

– Hmmm... doprawdy zdumiewające! Przyjrzeć się pragnę tej osadzie – oznajmił wolno, stanowczym głosem władca. – Przecież to ślady bobrowych siekaczy! – wykrzyknął zaskoczony.

Były wszędzie: na słupach, palisadach i wałach okalających warownię. Monarcha wyteżył wzrok i zaczął się przypatrywać uważniej. W fosie spostrzegł kolejną niespodziankę – bóbr przy bobrze. Młode popiskiwały, starsze spały i odpoczywały w norach. „No tak” – pomyślał. „Teraz wiadomo kto wraz z ludźmi gród ten budował.”

Jakub postarzał się przez lata tak, że głowa jego biała była jak gołębie piórka. Anieli, nawet siwiutka, cały czas pozostawała dostojna i dojrzała piękna. Słyszac gwar, wyszli zobaczyć co się dzieje. Słuchy ich bowiem doszły, że sam orszak królewski koło grodu widziano.

– Słyszałem o jakimś Jakubie i Anieli. To wy? Wy tę warownię zbudowaliście? – zapytał król.

– Tak – potwierdzili zgodnie staruszkowie.

Wtedy Jakub pokłonił się i opowiedział królowi całą historię ich życia. Po jej wysłuchaniu król uścisnął dłoń staruszka i rzekł:

– Od tej chwili ta piękna okolica będzie nazywać się Bobrowo, bo bobry przyczyniły się do waszej pracy – oznajmił dostojnym głosem władca.

Nazwa ta przyjęła się i używana jest do teraz. Ślady zamku bobrownickiego również znajdziecie, a kto uważniejszy może i bobry wypatrzyć zdoła. Jak powiadają tutejsi mieszkańcy, wzorem założycieli osady: – W zgodzie z tymi zwierzętami żyć trzeba. ♦



O OKOLICZNOŚCIACH UFUNDOWANIA KOŚCIOŁA FRANCISZKANÓW W BRODNICY

W połowie XVIII wieku brodnickim starostą był Józef Płaskowski. Jego żona Rozalia, kobieta piękna i próżna, wiele godzin dziennie poświęcała na pielęgnowaniu swej urody. Miała dobre rozeznanie w europejskiej modzie, a najpiękniejsze materiały dostarczał jej brodnicki sklepikarz Żyd Ebel. Pani staroscina szczególnie lubiła bale, na których olśniewała wszystkich swą urodą i toaletą. Całymi godzinami ćwiczyła przed lustrem rozmaite pozy i miny, po czym stwierdzała:

– Jak zwykle przyćmię wszystkie panie, nawet żonę sędziego, która bezskutecznie usiłuje mi dorównać. Ale gdzie jej do mnie? Kto jest taki gibki w talii jak ja? Czyje oczy świecą niby gwiazdy? Moje włosy nie tylko lśnią, ale i układają się w cudowne loki. Ach, kiedy znowu pojawi się Ebel? Wszak bal w resursie odbędzie się już za dwa tygodnie. Muszę znów wyglądać oszłamiająco!



Ledwie o tym pomyślała, gdy za oknem dało się słyszeć ujadanie brytanów, a za nim turkot znajomej kolaski. Pani Rozalia wyjrzała przez okno, nie było wątpliwości – to Ebel, klasnęła radośnie w dłonie.

– Dorcia – skinęła na wpatrującą się w nią z zachwytem dziewczynę. – Ustaw mi tu rzędem wszystkie krzesła. Zobaczymy, co dzisiaj mój Żyd przywiózł.

Dorcia, kilkunastoletnia dziewczyna, już od pewnego czasu z oddaniem usługiwała swej pani. Była sierotą i starościnej kochała jak nikogo na świecie. Tymczasem w drzwiach pojawiła się potężna twarz Ebla.

– Aj waj, aj waj... – powtarzał, dźwigając wielkie paki, a z jego czerwonej twarzy spływały strużki potu. – Właśnie powróciłem z Dalekiego Wschodu i specjalnie dla starościny przywiozłem stamtąd istny cymes!

Pani Rozalia wiedziała, że Ebel nigdy nie był w dalekich krajach, ale miał tam kontakty, które sprawiały, że żaden sklepikarz brodnicki nie był w stanie z nim konkurować w zakresie różnorodności posiadanych tkanin.

– No pokaż, pokaż Eblu, co tam dla mnie masz? – szczebiotała uszczęśliwiona pani Rozalia. Oczy jej płonęły na widok precudnych, olśniewających koronek i jedwabi. – Ach, jakie to piękne! – już widziała siebie w złotej sukni, obszytej szafirową koronką. Ale... – Ejże! Eblu, ten materiał jest przybrudzony!

– A dziwi się wielmożna pani? Przecież on odbył taaaaką – tu Żyd rozwarł swoje potężne ramiona – drogę z Chin!

– No dobrze, już dobrze. Moja służka to wypierze.

Po chwili zadowolony Ebel wsuwał do swej przepastnej kieszeni błyszczące dukaty i, pożegnawszy szczodłą starościnej, odjechał.

Wierna Dorcia zabrała się do usuwania brudu z tkaniny. Prała ją długo i starannie, wreszcie zadowolona z efektów swej pracy, rozwiesiła tkaninę na wbitych na łące palikach. Jeszcze przez chwilę z zachwytem patrzyła na materiał, podziwiając jego delikatność i barwę. Oczami wyobraźni ujrzała swą panią w nowej kreacji.

– Znowu będzie najpiękniejsza... – szepnęła. Nie minęły dwie godziny, gdy wieść hiobowa dotarła do uszu starościny: na łące stoją puste paliki, a po tkaninie nie ma śladu!

– Jak to? To niemożliwe! – krzyczała pani Rozalia, a jej piękne oczy ciskały pioruny.

– Kto widział po raz ostatni mój piękny... – i tu pani Rozalia rozplakała się. – Przecież bal jest za dwa tygodnie. Nie założę sukni, którą choć raz miałam na sobie! Kto to zrobił? Zaraz... zaraz... – głęboka zmarszczka pojawiła się na czole pięknej pani. – To Dorcia prała tkaniny.

– Dorcia! – zwróciła się gniewnie do przerażonej dziewczyny. – Co z nimi zrobiłaś? Nie kłam tylko! Jeśli mi je oddasz, może ci wybaczę.

– Ależ pani – niebieskie oczy wiernej służki napełniły się łzami. – Ja nigdy bym...

– A więc tak! – przerwała jej wściekła pani Rozalia. – Skoro trwasz w tym kłamstwie, wydalam cię z mojego domu. Rozumiesz chyba, że dla złodziejki i kłamczuchy nie ma miejsca pod moim dachem.

Dorcia bez słowa wybiegła z salonu. Szła przed siebie i wciąż dudniło jej w uszach „Złodziejka! Kłamczucha!”. A przecież ona dla swej pani życie by oddała. Błąkała się lasami i polami. Zaczął padać deszcz, ale ona tego nie czuła. Minęły dwa dni. W starościńskim domu panował grobowy nastrój. Pani nie tylko bolała z powodu utraconych koronek i jedwabi, ale gniotło ją też sumienie, że tak okrutnie postąpiła z Dorcią. Nagle pojawił się przed nią parobek i zakomunikował:

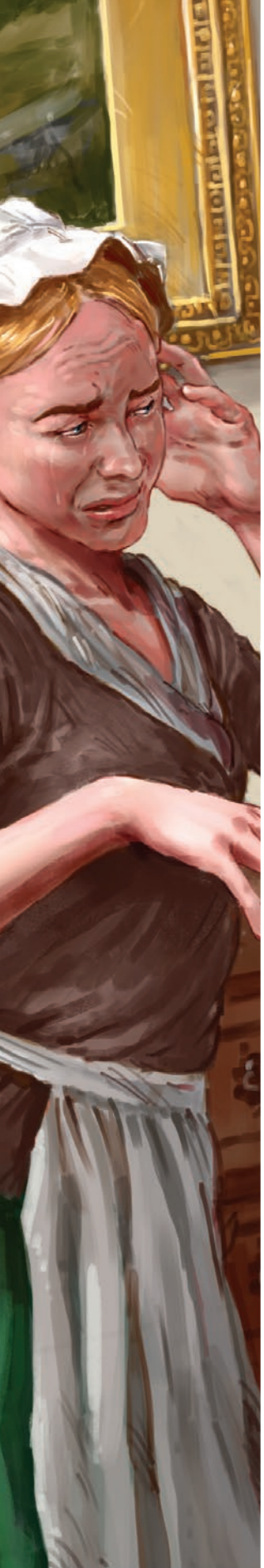
– Miłościwa pani, nasza najlepsza krowa zdechła.

– Jeszcze to! – zawołała pani Rozalia, załamując ręce.

– Miłościwa pani – kontynuował chłopak. – Myśmy ją rozpruli, by zobaczyć, czy mogą jej mięso zjeść psy i my w jej środku znaleźliśmy te pani koronki od Ebla. A część ich leżała pod lasem.

– Rany boskie! – jęknęła starościna.

– Miłościwa pani, jeszcze jedno – pani Rozalia miała ochotę krzyknąć, by parobek dał jej wreszcie święty spokój, ale resztkami sił powstrzymała się, a chłopak mówił dalej: – Ci parobkowie, co robią nową przystań, znaleźli dziś nad rzeką naszą Dorcię. Była martwa.



Też już dla pani Rozalii było za wiele. Wybuchnęła rozdzierającym płaczem i w stanie rozpaczki pozostawała przez tygodnie. Jej dotychczasowy świat, pełen pięknych strojów i klejnotów, przestał istnieć. Wciąż zmieniała spowiedników, ale żaden z nich nie mógł ukoić bezgranicznego smutku. W 1751 roku, za namową pewnego duchownego z Grudziądza, ufundowała w Brodnicy dla zakonu franciszkanów kościół i klasztor. Czy to wyciszyło znękaną sumienie? Też nie wiemy... ♦



JAK ZAŁOŻONO MIASTO BYDGOSZCZ

- **Z**astanawiam się – mówił Byd do swojego brata Gosta. – Dlaczego my się stąd nie ruszamy? Ziemia tu nieurodzajna, kamienista, wody wokół mało... O, spójrz na ten strumyk. Płyne tak nieśmiało, jakby się czegoś wstydził...
- Masz rację – przytaknął Gost. – Nasza chata też mizerna, pewnikiem nie długo się rozleci. Nie dziwota, że ludzie nie chcą się tu osiedlać. Nie rozumiem, dlaczego zrobili to nasi rodzice?
- No bo miłowali się. Chcieli być tylko dla siebie, obce oczy nie były im potrzebne.
- Prawda. A my grzaliśmy się w ciepłej ich miłości... – Gost głęboko westchnął. – Dobre mieliśmy dzieciństwo, braciszku...
- Taak – przez małą szparę między zębami Byda wydobyl się cichy świst. – Chciałbym i ja uwić takie gniazdko: z dobrą kobietą, syneczkami, a może i córą?
- Ja też już o tym myślę – wszedł mu w słowo Gost. – Tylko, czy w tym miejscu jest to możliwe? Kiedy ostatni raz widzieliśmy tu ludzi?
- Zapadło głucho milczenie. W pewnej chwili Gost podniósł z ziemi kamień i cisnąwszy go daleko przed siebie, zawołał donośnie: – Wyruszymy na północ!
- Niebieskie oczy Byda radośnie się roziskrzyły:



– Nie uwierzysz, ale ja myślałem o tym samym!

– Bydzie, toż my z tej samej krwi to i myśli jednaką strugą płyną.

Gdy po kilku dniach żegnali to miejsce, w którym przyszli na świat, Byd powiedział poważnie:

– Nadchodzi czas wielkiej próby, w którym okaże się na ile jesteśmy silni, twardzi, pracowici. Czy poradzimy sobie z przeciwnościami losu?

– Oby duchy naszych przodków miały nas w swej opiece – wtrącił Gost.

Szli krokiem sprężystym, rozmawiając z ożywieniem.

– Zbudujemy osadę – mówił Gost. – Musimy zatem znaleźć taki zakątek, który przyciągnie innych ludzi.

– Tak! – entuzjazmował się Byd. – Szukajmy więc takiego miejsca, gdzie płynie rzeka. Bez niej ani rusz.

– Masz rację – Gost poklepał brata po ramieniu. – I trzeba mieć też pod ręką drzewo na budowę chat. Teren musi być porządnie zalesiony.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, a oni wciąż szli tym samym, sprężystym krokiem.

– Hej, Bydzie! – głos Gosta był tak wesoły, że wydawało się, że wszystkie ptaki odpowiedziały mu równym szczebiotem. – Zatrzymajmy się wreszcie na popas!

Jedli z apetytem mięso upieczone jeszcze w domu. Nadszedł ciepły, letni wieczór. Niebo, ten sufit ziemi, roziskrzone było gwiazdami. Położyli się na mchu i zasnęli.

Mijały dni i noce, a oni z niezmienną ochotą podążali na północ. Zdarzały się ulewne deszcze, przejmujące do szpiku kości wiatry, bezgwiezdne noce pełne trzasku gałęzi uginających się pod ciężarem przebiegających zwierząt. Zdarzało się, że idących otwartą przestrzenią braci słońce tak niemiłosiernie paliło, że skóra na ich ramionach pękała. Czasami wydawało im się, że właśnie odnaleźli to wymarzone miejsce, ale przyjrawszy mu się dokładnie, stwierdzili jednocześnie:

– Ładnie tu, jednak to jeszcze nie to!

Nie odczuwali zniechęcenia, nie rozmawiali o bólu nóg upstrzonych pęcherzami, o popękanej skórze, o czających się wszędzie niebezpieczeństwach. Rozmawiali o osadzie, którą pragnęli założyć i już widzieli ją oczami wyobraźni.



Aż pewnego dnia ujrzeni przed sobą dolinę pełną jezior, lasów, rozlewisk i dróg prowadzących we wszystkie kierunki. Spojrzeli na siebie i już wiedzieli, że tutaj zbudują gród.

Gdy rozpoczęli pracę, szybko zjawili się inni ludzie. Wszyscy pracowali zgodnie, z zapałem i uśmiechem na ustach. Któregoś dnia, po pełnych trudu godzinach, mężczyźni zasiedli przy długim, ściętym drzewie, na którym rozłożono jadło i picie. Odezwał się do nich Gost:

– Gród nasz na dniach gotowy będzie. Ale każdy gród ma swoją nazwę. Od pewnego czasu głowimy się z Bydem, jakie nadać temu miastu miano?

Wtedy zabrał głos Morys, bodaj najstarszy z obecnych przy stole mężczyzn:

– Nie ma tu nad czym myśleć i gadać. Wszystko jest jasne. To wy, dwaj bracia Byd i Gost zaczęliście budować gród i wy jesteście jego pierwszymi gospodarzami. Przeto jego nazwa nie może być inna jak Bydgost.

– Tak! Tak! – rozległy się zewsząd radosne okrzyki.

Z czasem, w związku z tym, że jedni mówili: „Jedziemy do Bydgostu”, a inni, że do „Bydgosta”, albo „Bydgosty”, przyjęto nazwę „Bydgoszcz”, bo w tym przypadku można pojechać tylko do Bydgoszczy. ♦



O ANGELICE Z BYDGOSKIEGO ZAMKU

Piękna Angelika spoglądała przez okienko bydgoskiego zamku, należącego do jej ojca Carolusa i dumiała nad swym smutnym losem. Przyczyną przygnębienia był właśnie ojciec. Kochała go bardzo, ale uważała za złego człowieka. Bowiem jak usprawiedliwić rozboje, dokonywane przez niego i podległych mu złoczyńców na bydgoskim trakcie? Iluż nieszczęśników „gościły” lochy bydgoskiego zamku? A przecież Carolusowi na niczym nie zbywało: podległa mu ludność regularnie płaciła daniny, spiżarnie księcia wypełnione były po brzegi zapasami, w piwnicy dwoiło się, a nawet troiło w oczach od rozmaitych trunków. Niekiedy Angelika w stroju żebraczym wędrowała wśród okolicznych chat i serce jej pękało ze zgryzoty, gdy zewsząd słyszała: – Okrutny ten Carolus, ciemiężca. On serce ma z kamienia.

W jakim celu wyruszała na tak bolesne dla jej wrażliwej natury wyprawy? Ano po to, by zobaczyć, którym z poddanych jej bezwzględного ojca dzieje się najgorzej. Pomağala im jak mogła – za pośrednictwem wiernego służy przekazywała jedzenie lub odzienie. Chociaż była księżniczką, sama nie posiadała zbyt wiele, gdyż ojciec nawet wobec ukochanej jedynaczki, nie wykazywał szczodrości.



– Gdy wyjdiesz za mąż, wtedy hojnie cię wyposaże – zapewniał.

Któregoś dnia na bydgoskim trakcie pojawił się syn nakielskiego księcia – Jarosław. Carolus już wcześniej otrzymał wiadomość od swoich zaufanych ludzi, że oto nadarzy się okazja, by uzyskać olbrzymi okup. Nie było przecież tajemnicą, że nakielski książę gorąco kocha swojego jedyne go syna i nie ma takiej ceny, której za niego nie zapłaci. Przygotowana przez Carolusa zasadzka przyniosła spodziewany rezultat. Biedny Jarosław wtrącony został do strasznych, zamkowych lochów, a Carolus śmiał się szyderczo: – Ciekawe, ile dla twojego tatusia warta jest twa główka?

Słyszała też ten śmiech Angelika, która bezskutecznie próbowała go zagłuszyć, zatykając sobie uszy palcami. Tej nocy z wiernym sobie sługą zeszła do lochów. Zniosła uwięzionemu posiłek, którego sama nie zjadła. Czyniła tak przez kolejne noce. Młodzi zakochali się w sobie.

– Wydostanę cię stąd. Niech tylko nastanie bezksiężycowa noc, a mój wierny Spytko obejmie straż przy bramie – szeptała dziewczyna.

Tak też się stało. Angelika wyprowadziła ukochanego ze straszliwych podziemi, a przy pożegnaniu z nim usłyszała:

– Angeliko, wróć po ciebie i zabiorę stąd...

Nazajutrz, gdy Carolus dowiedział się, że więzień zniknął, jego wściekłość nie miała granic! Chciał ukarać śmiercią wszystkich podejrzanych o udział w ucieczce Jarosława. Wtedy Angelika wyjawiała ojcu: – To ja jestem winowajczynią. Możesz mnie najsurowiej ukarać!

Ale tego Carolus uczynić nie mógł, bo córka była jedyną w jego życiu istotą, którą kochał.

Pewnego dnia ujrzał Carolus przez okno zamkowe zbliżającą się grupę jeźdźców, na czele której rozpoznał swego dawnego więźnia Jarosława. Domyślił się, w jakich zamiarach przybywa to nakielskie książątko – najpewniej po jego Angelikę! Natychmiast wysłał, będących pod jego rozkazami, wojowników, by rozprawili się z intruzami. Ale bój toczony pod murami zamku nie przyniósł rozstrzygnięcia. Rycerze Jarosława byli w natarciu.

Walka przeniosła się na dziedziniec zamkowy. Swoją odwagą Jarosław dawał przykład przybyłym z nim wojownikom. Nagle na dziedzińcu pojawił się niezwykle rycerz. Był odziany w czarny płaszcz, na głowie miał hełm, a twarz przykrywała przyłbica. Wszyscy rozstąpili się przed nim, wszyscy z wyjątkiem Jarosława. Zaczął się pojedynek. Książę nakielski walczył dzielnie, jednak brakowało mu doświadczenia. Widać było, że jego przeciwnik to człowiek zaprawiony w bojach. W pewnej chwili czarny rycerz wymierzył celny cios – Jarosław niczym rażony piorunem zsunął się martwy na ziemię. Z ust jego chlusnęła krew.

– Neeee!!! – powietrze przeszył pełen bólu krzyk. To Angelika, będąca świadkiem śmierci ukochanego, wyraziła swoją rozpacz. W okamgnieniu wyrwała, stojącemu obok niej, rycerzowi jego miecz i przebiła nim mordercę ukochanego. Tamten zwałił się na ziemię. Wtedy Angelika podniosła mu przyłbicę. Zrobiło jej się ciemno w oczach... To niemożliwe... To ojciec!

Z okrzykiem przerażenia przebiegła przez zamkowy dziedziniec, a potem bramę. Nie mogła złapać tchu, a jednak nie ustawała w ucieczce. Nie wiadomo, ile upłynęło czasu, nim ujrzała przed sobą spokojnie płynące wody Brdy. Szepnęła: – Rzeco, otwórz przede mną swoje ramiona... Skoczyła, a chwilę później woda znowu zrobiła się gładziuteńka.

Angelika powraca do bydgoskiego grodu w postaci Białej Damy. Siada na ławeczce nad Brdą, gdzie – zastygłe w kamiennej rzeźbie – stoją trzy bydgoskie gracje. Spogląda na spichrze, most i „Przechodzącego przez rzekę”. Podoba jej się miasto. Potem powoli wstaje, podchodzi do swojej wiernej rzeki i cichutko nuci pieśń przywołującą wspomnienia dawnych wydarzeń. ♦



O DOBREJ RZECZCE BRDZIE

Matyjaska lubili wszyscy mieszkańcy tej nadrzecznej osady. Był to chłopak pracowity i skory do pomocy. Osada była nieduża, kilka chat licząca. Narzekano na niedostatek mężczyzn, bo jednego roku trzech młodych zmarło, a każdy z nich gromadkę dzieci pozostawił. Kobiety uwijały się w robocie, jak mogły, ale niektórym pracom nie były w stanie podołać. Stąd też pomoc Matyjaska była bezcenna. Nie miał już on ani rodziców, ani brata, ani siostry, jedynie kilku krewniaków. Jak tylko sięgano pamięcią wstecz, Matyjasek zawsze mocno się jękał, nikt jednak z tego powodu mu nie dokuczał. Jego ulubionym zajęciem było łowienie ryb. Siedząc nad rzeką na przyniesionym z lasu pieńku, czekał na Hankę. Wiedział, że dziewczyna, prędzej czy później, pojawi się tam, by przeprać swoje płócienne fatałaszkę. Widział, jak przegląda się przy tym w wodzie i uśmiecha do swojego odbicia. Trudno się temu dziwić, bo Hanka rzeczywiście była urodziwa. Złocisty warkocz opadał jej do pasa, niebieskimi jak poranne niebo oczami zerknęła zalotnie w stronę młodzieńca, a czerwone jak malina usta rozchyłały się w uśmiechu.



– I jak tam, Matyjasku, ryba bierze? – pytała wesoło, choć tak naprawdę wcale nie interesowała ją odpowiedź.

– Taaak, jaak zaaawwwszsze... – Matyjasek czuł, że w takiej chwili jąka się jeszcze bardziej niż zwykle.

Hanka tymczasem wyciągała z kosza swoje szatki. Każdą z nich płukała długo w rzece, a potem, dla osuszenia, uderzała kijanką. „Zaraz sobie pójdzie” – myślał zmartwiony Matyjasek. Dziewczyna oparłszy kosz na biodrze, skinęła mu ręką na pożegnanie. Jednak przeszedłszy parę kroków, zatrzymała się jeszcze i zagadnęła chłopca:

– A pomożesz mi Matyjasku jabłek nazbierać?

Twarcz zapytanego rozpromieniła się.

– Pooommoogę, pooommoogę.

Minął jakiś czas i Hanka z Matyjaskiem zostali małżeństwem. Chłopak zawsze powtarzał, że połączyła ich „ta dobra rzeka”.

Pewnego dnia w osadzie pojawił się nieznany jeździec. Było to wielkie wydarzenie dla mieszkańców, dlatego wszyscy wyszli z chat. Tymczasem przybyły, zsiadłszy z konia, spoglądał na nich ze zdumieniem.

– A wy tu sobie ludzie tak spokojnie żyjecie?

– Ano żyjemy. A czemu by nie?

– Nie wiecie, co się stało? Rzeki wszędzie powylewały. Ludzie i zwierzęta potopili się, pola i chaty pod wodą... Wielkie nieszczęście, tylko wam nic złego się nie przytrafiło.

I wtedy wszyscy mieszkańcy osady spojrzeli ku rzece, która im nigdy nie wyrządziła żadnej krzywdy. Łzy wdzięczności pojawiły się w wielu oczach. A Matyjasek wzruszonym głosem, jękając się jeszcze bardziej niż zwykle, powiedział:

– Ddddbbbbrrrraaaa taa nnnnaaszaa rrrzeekkkkaa...

I odtąd Dobrą ją nazywano. Ale przez lata poprzestawiano w nazwie literki i stała się ona Brdą. ♦



O MISTRZU TWARDOWSKIM W BYDGOSZCZY

Wielką sławę zdobył w całej Rzeczypospolitej, a nawet poza jej granicami, mistrz czarnej magii – imię pan Twardowski. I trudno się temu dziwić, bo jego sztuczki wprawiały ludzi w osłupienie. Potrafił na przykład żołnierza zamienić w zająca, albo z głowy pewnego szewca wycisnąć pół beczki mocnego trunku. Ludzie powiadali, że wezwał go do siebie sam król Zygmunt August i prosił, by Mistrz wywołał ducha ukochanej żony Barbary, która kilka lat wcześniej w strasznych męczarniach opuściła ziemski padół. I ponoć Twardowski tego dokonał!

– Pewnikiem duszę diabłu sprzedał – powtarzano wszędzie.

Ale, że nadludzką moc posiadał, gdziekolwiek się pojawił, witały go tłumy. Bo czy jest na ziemi choćby jeden człowiek, którego jakieś zmartwienie nie trapi? A Mistrz Twardowski każdej trosce zaradzi. Nic więc dziwnego, że kiedy pewnego, wiosennego dnia 1560 roku w grodzie bydgoskim gruchnęła wieść, że Mistrz Twardowski przybywa, wielkie się zrobiło poruszenie. Zastanawiano się, jak wizyta tego wielkiego czarnoksiężnika ma wyglądać. Czy każdy bydgoszczanin stanie przed jego obliczem, czy sprawy, którymi Mistrz miałby się zająć, należy spisać na papierze?

– Ale przecież tylu w naszym grodzie niepiśmiennych, ja także – biadolił zdun Zbych.



– Słuchajcie ludziska – odezwał się szewc. – Gdym jeszcze czeladnikiem był i w Kaliszu sztukę szewską doskonalił, do miasta onego również imię Twardowski przybył. Miał on u swego boku, takie jakby diabłatka, Węgliszka i Smółkę. Oni to wszystkie spisane na papierze troski zbierali, a potem Mistrzowi przedkładali.

Zaczęto więc gorączkowo poszukiwać pisarzy, których sakiewki za czynione usługi dostały okazałe „brzuski”. Gdy burmistrz obwieścił, że Twardowski jest tuż, tuż, miejski rynek zaległy niezliczone tłumy. Najpierw od strony ulicy Mostowej pojawiły się dwie dość dziwaczne istoty. Przez tłum przeszedł szept, że to Węgliszek i Smółka. I rzeczywiście, to byli oni. Pomocnicy Twardowskiego sprawnie przeciskali się między ludźmi.

– Czy będzie można z Mistrzem spotkać się osobiście? – spytał nieśmiało jakiś drobny człowieczek.

– Osobiście spotkać się z Mistrzem może burmistrz, czyli ja – głos mówiącego był tubalny, a trzymany w dłoni łańcuch, symbol władzy nad miastem, czynił go jeszcze bardziej dostojnym.

Jednakże Węgliszek spojrzał życzliwym okiem na człowieka zadającego pytanie i zapewnił, że jego pan zaprosi na osobistą audiencję kilkoro mieszkańców grodu, tych niezamożnych, bo bardzo nie lubi – tu znacząco spojrzał na burmistrza – gdy ktoś, z racji sprawowanego urzędu, nadmiernie zadziera nosa.

Wreszcie zjawił się on. Siedział na kogucie o złotym dziobie, ubrany w kontusz przepasany wybijanym cekinami pasem. Uśmiechał się szeroko do bydgoszczan.

– Witajcie, witajcie! Zaraz zaradzę waszym troskom, ale najpierw muszę coś przekazać.

Gdy tylko znalazł się w stojącej na rynku karczmie, jej właściciel, wykorzystując fakt, że gości u siebie niezwykle człowieka, podając mu najsmakowitsze jadło, jednocześnie biadolił:

– Od lat staram się u władz miasta o pozwolenie na powiększenie mojego szynku i nie w tej sprawie nie mogę wskórać.

– Nie przejmuj się – pocieszył go Mistrz, ocierając rękawem ściekający po brodzie tłuszcz z wyśmienitej pieczeni. – Ja ci wystawię odpowiedni gład.

Zachwycony karczmarz podał Twardowskiemu papier, pióro i inkaust. Gość sporządził odpowiedni dokument, po czym pożegnał gospodarza i udał się na rynek.

– Pokaż Węgliszku, jakie smutki trapią tych dobrych ludzi? Diabełek podał mu cały stos karteczek. – Co my tu mamy? „Ja kocham Józka, a on mnie nie. Hanka”. No to już kocha! Dalej: „Moja sąsiadka powinna mieć wszystkiego dwa razy mniej niż ma, bo jej się to co ma wcale nie należy! – Grzechu”. Tę kartkę Mistrz z obrzydzeniem odrzucił. – Faj, coż to za paskudny donos – westchnął. Mijały godziny, a Twardowski czytał i czytał. Wreszcie klasnąwszy w ręce, zawołał:

– Węgliszku! (zawsze wołał go od Smółki) – Może teraz przyjmę kogoś osobiście?

– O, tak – ucieszył się pomocnik. – Poznałem takiego człowieczka, który wzbudził mą sympatię – przywołam go zaraz.

I wkrótce zjawił się ów skromny człeczek, który na rynku zamienił z Węgliszkiem kilka słów.

– Z jaką sprawą przybywasz?

– Panie – zaczął nieśmiało przybysz. – Byłem ja kiedyś bogaty. Niestety, w wyniku złych życiowych wyborów straciłem cały majątek. Czy jest jakiś sposób na jego odzyskanie?

– Tak – odrzekł z całą mocą zapytany. – Czyń wszystko według moich wskazówek: przed północą idź do lasu mając w kieszeni 10 jedno groszówek. Znajdź tam starą chatę, wejdź do niej. Usiądź na zydelku i do pierwszego piania koguta licz grosze: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, a potem: 10, 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1. Pamiętaj, złe moce z Lucyferem na czele, będą cię kusić, ale ty nie przerywaj czynności. Jeśli zrobisz wszystko tak, jak ci każę, to majątek do ciebie powróci.

Uradowany człowieczek serdecznie podziękował Mistrzowi, tym bardziej, że wyznaczone przez niego zadanie wydawało mu się łatwiutkie. Tuż przed północą poszedł do lasu, odnalazł chatę, zasiadł w niej na niezbyt wygodnym stołeczku i zaczął liczyć, wyciągnięte z kieszeni grosze: 1, 2, 3... Mijały godziny. Nagle ujrzał stojącego na progu Twardowskiego. Zdumiał się niezmiernie.

– I jak tam, liczysz? – spytał przybysz.

– Ano liczę! – brzmiała odpowiedź.

- A nie pomyliłeś się?
- Nie.
- No to licz dalej!

I już Twardowskiego nie było. Człowieczek tymczasem chciał kontynuować liczenie, gdy nagle uświadomił sobie, że nie pamięta, na której liczbie skończył. I już sobie nie przypomniał. Majątku nie odzyskał. Został w klasztorze karmelitów furtianem, to znaczy, że furtę klasztorną otwierał i zamykał. Mistrz Twardowski, w ciągu swojej trzytygodniowej obecności w grodzie nad Brdą, niejednego dokonał. Burmistrz poprosił go, aby Mistrz ujął mu jakieś 20, a może 30 latek...

– Mam piękną i młodą żonę – tłumaczył. – Spogląda ona czasem na mnie tak, jakby ojca miała przed sobą!

Życzenie to dla sławnego czarnoksiężnika było drobiazgiem. Trzask-prask i zniknęły zmarszczki z twarzy włodarza miasta. Na niedawno zupełnie łysej głowie wyrosła gęsta, czarna czupryna. Ale burmistrzowa nie rozpoznała swojego męża. Do domu wpuścić go nie chciała i chociaż niektórzy mówili potem, że ostatecznie dała wiarę w przemianę, jednak chyba nie do końca.

Niezbyt szczęśliwie na wstawiennictwie Mistrza wyszedł, wspomniany wcześniej, karczmarz. Owszem, mając odpowiedni dokument, rozbudował swoją karczmę, ale gdy przybył ksiądz, by ją poświęcić, kapka święconej wody padła na ów głąb, co wywołało pożar. Nowa część szynku spłonęła, a stara pozostała i od-tąd „Pod Zgorzelcem” ją nazywano. Po dziś dzień w murach tych rozbrzmiewają wesole głosy gości w restauracji pod zmienioną już nazwą „Karramba”.

A co stało się z Twardowskim? Gdy przez nieuwagę swoją znalazł się kiedyś w podbydgoskiej karczmie „Rzym”, porwał go stamtąd Lucyfer. Bronił się dzielnie, jednak diabeł wyciągnął go przez komin i do piekła chciał porwać. Twardowski zaczął wówczas rozpaczliwie wzywać na pomoc Matkę Boską. Najświętsza Paniienka ulitowała się nad grzesznikiem, wyrwała z diabelskich łap, ale do rajku wpuścić nie chciała mówiąc:

– Na niebo nie zasłużyłeś, bo miałeś konszachty z mocami nieczystymi. Twoim domem stanie się... księżyc – i tam go zesłała. ♦



DUCH BERNARDA SZUMBORSKIEGO W CHEŁMIŃSKIEJ BASZCIE

Gdy nieszczęsną decyzją księcia Konrada Mazowieckiego, Krzyżacy w I połowie XIII wieku osiedlili się na polskiej ziemi, za sprawą podbojów i pod pretekstem szerzenia chrześcijaństwa, to utworzyli silne, dobrze zorganizowane państwo. Trzeba przyznać, że byli oni bitni i na wielkich koniach, z pieśnią na ustach najczęściej pokonywali przeciwnika. Swoją stałą gotowość do walki podkreślali słowami: Krzyżak nigdy nie zsiada z konia.

Jednak z upływem czasu odechciało im się wojować. Zdobyte bogactwa, regularnie ściągane z podbitej ludności daniny, zapewniały im dostatnie życie. Odeszli od zakonnej reguły, hulali, a swą militarną siłę oparli na wojsku najemnym. Tak też się działo podczas wojny trzynastoletniej, która toczyła się między Polską, a państwem krzyżackim od 1454 roku. W szeregach zaciężnych wojsk zakonowi znalazł się pewien rycerz – Bernard Szumborski. Zasłynął on z odwagi już w początkach wojny i przyczynił się do zwycięstwa Krzyżaków pod Chojnicami.

24 września 1457 roku, na czele dwóch tysięcy zaciężnych, opanował Chełmno, które wcześniej na krótko uwolniło się spod krzyżackiego buta. Ogłosił się starostą



miasta, a dotychczasowego włodarza Chełmna – Michała Segemunde, rozkazał poćwiartować. Wkrótce opanował kilka innych miast ziemi chełmińskiej.

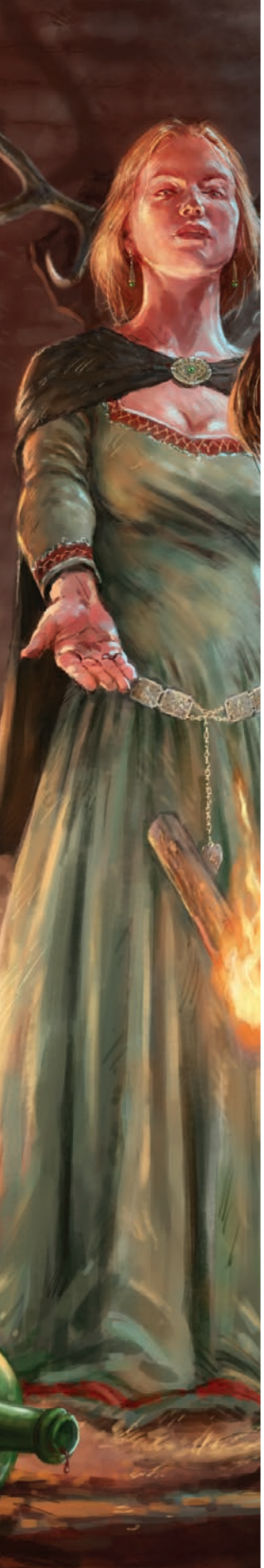
Krzyżacy zalegali z wypłacaniem żołdu, w związku z czym Szumborski i jego żołnierze bezwzględnie wyzyskiwali podbitą ludność. Polityka okrutnego starosty doprowadziła Chełmno do ruiny. Pomimo podpisania w 1466 roku w Toruniu pokoju polsko-krzyżackiego, mocą którego ziemia chełmińska powracała do Polski, Szumborski wcale nie zamierzał opuszczać miasta, w którym wciąż prowadził hulaszczę życie. Chełmianie straszliwie bali się okrutnika i kuczyli pod nienawistnym spojrzeniem jego lodowatych oczu. Towarzyszyła mu zawsze kompania potężnych drabów. Jeden z nich miał dłonie, przy których łopata zdawała się być łyżeczką.

Był późnojesienny dzień, gdy Szumborski w otoczeniu swych kompanów wkroczył na chełmiński rynek. Odbywał się tam właśnie targ, zgiełk panował więc wielki. Gdy tylko ludzie ujrzeli tak dobrze znaną postać, wszystko zamarło. Nawet pies nie zaszczekał, kot nie zamiauczał, koń nie zarżał. Szumborski uwielbiał tę atmosferę wszechobecnego strachu. Szedł pierwszy, a za nim jego draby. Przesuwał groźne spojrzenie po kupcach, przekupkach, rzemieślnikach i wieśniakach przybyłych spod chełmińskich wsi, by sprzedać jaja, owoce, marchew i inne produkty rolne. Tym samym wzrokiem spoglądał na dzieci, dziewczyny i kobiety. Lecz nagle... Kto to? Stał, nie mogąc oczu oderwać od jasnowłosej, niebieskookiej piękności. „Co za lica...” – pomyślał w zachwycie. – „A usta! Chyba maliny na nich wyrosły?” I zdało mu się, że poczuł zapach i smak owych malin, którymi w czasach dzieciństwa karmiła go matka. Dziewczyna patrzyła na niego śmiało. Nie było w tym spojrzeniu nic z unizoności ani lęku, tego co przez lata oglądał w tysiącach ludzkich oczu. Odwrócił się gwałtownie i nie patrząc już na nikogo, opuścił rynek. Tej nocy nie zmrużył oka, następnej również. Wciąż widział tamte usta, chabrowe oczęta, warkocz spleciony jakby ze złotych kłosów. Wczesnym rankiem wezwał do siebie owego draba o gigantycznych dłoniach.

– Hans... – wycedził nieco zmieszany, bo wstydził się przyznać do narastającego w nim ludzkiego uczucia miłości. – Pamiętasz tę dziewczkę z rynku?

– Pamiętam. Nie sposób było nie zauważyć, jakie zrobiła na tobie wrażenie.
– Muszę wiedzieć, kim ona jest!
– Ja już to wiem!
– Jak to? – zawołał zdumiony Bernard.
– Widziałem, co się z tobą dzieje! To było pewne, że Amor cię tak łatwo nie opuści! Ma na imię Culmina. Jest córką strażaka. Prowadzi dom, bo matka jej już dawno umarła.
– Jak ja mogę do niej dotrzeć?
– Chyba żartujesz? – zarechotał drab. – Jedno twoje słowo, a na tych rączkach – tu wskazał swoje łapska. – Dostarczę ci oblubienicę!
– Nie! – Szumborski był wściekły. – Nie chcę brać jej gwałtem! Pragnę, by... by mnie pokochała...
– No to przysyłaj jej wymyślne podarki! Kobiety są na nie zawsze bardzo łase.
Bernard, który w swoim charakterze nie miał nic subtelnego i dobrego, nie znalazł innego sposobu na oblaskawienie ukochanej panny. Przesyłał więc jej piękne i kosztowne prezenty, które Culmina z ukontentowaniem przyjmowała. Bernard przestał pojawiać się na rynku. Całkowicie zaabsorbowany żarliwym uczuciem do pięknej chełmianki obmyślał nieustannie, co jeszcze ofiarować oblubienicy... Zupełnie nie obchodziło go to, że wszystkie podarunki pochodziły z rabunku. Kiedy uznał, że już wystarczająco oblaskawił wybrankę swego serca, zaproponował jej przez zaufanego człowieka schadzkę. Przystała na to z ochotą. Gdy Bernard znowu ją zobaczył, zdawała się jeszcze piękniejsza. Jej oczy przy blasku księżyca lśniły niczym gwiazdy, z malinowych ust wypłynął słowiczy głos, a Bernard wychrypiał:
– Szaleję za tobą, Culmino, zostań moją żoną!
– Nie tak szybko mój panie – zaszcebiotała. – Ty, krzyżacki najemnik chcesz mieć za żonę Polkę?
– Choćbyś była z piekła rodem, chcę byś była moją!
– Rozważę twoją propozycję, ale rozmowa nasza musi potoczyć się swobodnie. Tutaj może nas ktoś usłyszeć, a poza tym zimno mi, choć jestem ubrana w przysłane przez ciebie w darze piękne korzno obszyte futrem. Mamy przecież styczeń!

– O ukochana! O niczym innym nie marzę, jak być z tobą w ciepłej izbie i przy blasku płomienia patrzeć na ciebie! Przyjdiesz jutro wieczorem do mojej baszty?
– Tak – krótko odrzekła Culmina i już jej nie było.
Po bezsennie spędzonej nocy, Bernard zaczął przygotowywać się na przyjęcie ukochanej. Na stole nie zabrakło najwykwintniejszych potraw. Gdy wszystko było już gotowe, odprawił służbę i czekał... Wreszcie usłyszał na krętych schodach lekkie stąpanie drobnych kroków, a potem – stuk-puk. Wyglądała olśniewająco.
– Czarodziejko ty moja – Bernard nie mógł opanować drżenia głosu. I już chciał wziąć ją w swoje ramiona, gdy Culmina lekko go odtrącając, rzekła:
– Chcesz mnie poślubić, ale nie znasz polskich zwyczajów. Przynoszę ci gości-niec, czyli podarunek z podróży. Wprawdzie ja nigdzie nie wyjeżdżałam, ale uważam, że moja droga do miejsca, gdzie teraz jestem była bardzo długa. Zrobiłam dla ciebie nalewkę z malin, bo do tych leśnych owoców porównałeś moje usta. Wypij ją, byś mógł się potem przekonać co smaczniejsze...
– Ależ najukochańsza moja, ja już to wiem!
– Nie możesz odmówić, bo mnie obrazisz!
– No dobrze, już dobrze – Bernard szybko przechylił przyniesioną przez Culminę butelkę i jej zawartość wypił jednym tchem. Gdy pokazał opróżnione naczynie wyszeptał:
– A teraz usta...
– Nie – głos dziewczyny stracił dotychczasową łagodność. – Ust nie będzie!
– Jak to?
– A tak, Bernardzie i już nic nie będzie. Przyniesiona przeze mnie nalewka zawierała truciznę. Oto nadeszła twoja ostatnia godzina!
Oczy Bernarda stały się wyłupiaste, a on sam zdążył jeszcze wychrypieć:
– Służba...
– Nikt ciebie nie usłyszy – mówiła Culmina spokojnie. – A wiesz dlaczego to robiłam? I nie czekając na odpowiedź, ciągnęła dalej. – Bo przez lata gnębiłeś Polaków, bo ich upokarzałeś, lżyłeś, skazywałeś na śmierć, jak mojego ukochanego wuja Michała Segemundę. Myślałeś, że twoje podarunki zrobią na mnie wrażenie?



Wiem, że pochodzą z grabieży i oddam je poszkodowanym przez ciebie.

Mówiła jeszcze długo wiedząc, że Bernard już jej nie słyszy. Nagle wstała, chwyciła leżące przy palenisku polano, przyłożyła je do ognia i rzuciła na środek izby. Ogień szybko zaczął się rozprzestrzeniać.

– Bernardzie, ja dumna Polka, żegnam cię!

A działo się to w styczniową noc roku Pańskiego 1470. Odtąd w jednej z baszt, zwanej Prochową, a znajdującej się w obrębie chełmińskich murów obronnych, pokutuje dusza nieszczęsnego rycerza, który myślał, że za klejnoty i stroje kupi miłość dumnej chełmianki. ♦



O GLINIANYM KUBECZKU Z CHEŁMŻY

Jak ja nienawidzę tego miasta! – takie słowa powtarzał codziennie jeden z budowniczych katedralnej wieży w Chełmży. I choć nie zawsze w czystym brzmieniu docierały one do przechodzących ulicą chełmżan, wszyscy dobrze je znali. Wiedziano też, jakie są powody wściekłości budowniczego.

Zaczął się wszystko od wydarzeń, jakie miały miejsce w 1688 roku w Toruniu, dokąd na procesję Bożego Ciała przybył biskup chełmżyński Jan Kazimierz Opaliński. Wtedy, mieszkający w tym mieście luteranie napadli na biskupi orszak. Skandal był niebywały, rozprawiano o nim w całej Rzeczypospolitej, a sprawa dotarła nawet do króla Jana III Sobieskiego. Udało się jednak osiągnąć porozumienie. Władze Torunia zadeklarowały, że przysła do Chełmży kilku murarzy, którzy dokończą budowę drugiej katedralnej wieży. Budowniczych wybrano losowo spośród tych, którzy nie mieli rodziny. I w taki oto sposób znalazł się w Chełmży ów Zbych, który już czwarty rok patrzył z góry na znienawidzone miasto.

Nie miał żony, ale miał ukochaną Gilde, z którą mógł spotykać się tylko raz w tygodniu, w niedzielę. Przez wszystkie dni tęsknił do niej okrutnie,



a w ostatnim czasie doszło jeszcze coś gorszego – wyczuł, że Gilda już nie darzy go takim uczuciem, jak dawniej. Kiedy dwie niedziele temu w Toruniu, ktoś szepnął mu, że jego ukochana na jakiegoś innego oczy obraca... Wszystko przez tę przekłętą robotę, która przykuła go do tego miejsca – myślał budowniczy wieży.

Był piękny, majowy dzień 1692 roku. Żar lał się z nieba, a pracujący na wysokościach Zbych nie mógł znieść widoku zadowolonych, kręcących się poniżej ludzi. Ujął w dłonie swój gliniany kubeczek, z którego popijał wodę i spoglądając w dół, syczał:

– Oby was wszystkich... – i nagle złośliwy uśmiezek pojawił się na jego twarzy. Obrócił jeszcze raz w swoich dłoniach opróżnione naczynie i wycedził: – Niech wieża ta runie i zamieni się w gruzy tak, jak za chwilę w skorupie zamieni się mój kubek!

Podniósłszy naczynie do góry, cisnął nim z całej siły, ale nie usłyszał charakterystycznego „brzdęk”. Spojrzał w dół i zobaczył pochylającego się nad czymś księdza. Gdy duchowny wyprostował się, zdumiony Zbych ujrzał w jego rękach kubeczek, który nie miał nawet utraconego uszka.

Wieść o niezwykłym wydarzeniu rozeszła się po całym mieście. Budowniczy Zbych był nim również bardzo poruszony. Przestał złorzeczyć miastu i, gdy już swoją pracę zakończył, często przybywał z Torunia do chełmżyńskiej katedry. Ba, wziął w niej ślub z ukochaną Gildą, o której rozpowszechniane informacje okazały się fałszywe. Ludzie zaczęli wierzyć, że katedra tak długo będzie stała, dopóki w jej murach pozostanie gliniany kubeczek.

Mijały lata, mijały wieki i mimo zmiennych, często tragicznych dziejów miasta, katedra trwała. Przeżyła również drugą wojnę światową i wydawało się, że już żadna siła jej nie zniszczy. Ale pewnego wiosennego dnia pojawiła się w świątyni grupa turystów. Jedna z pań, podczas opowieści o niezwykłym kubeczku, niefrasobliwie ujęła go w dłonie i po chwili zgromadzeni usłyszeli brzdęk, uderzającego o marmurową posadzkę naczynia, które rozleciało się na drobne kawałeczki.



Trzy miesiące po tym wydarzeniu, podczas pewnej sierpniowej nocy, nad miastem rozszalała się straszliwa burza, w czasie której piorun trafił w wieżę i spowodował pożar. Znaczna część świątyni spłonęła. Pracownicy i wierni swym tradycjom chełmżanie wraz z proboszczem odbudowali tak bardzo drogą im świątynię. A co się stało z kubeczkiem? Pieczołowicie go sklejono i schowano w sejfie katedralnego skarbcza, by uchronić przed czyimiś lekkomyślnymi rękoma. Chociaż został zamknięty pod kluczem, wiernie czuwa nad miastem. ♦



SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA CIECHOCINEK?

Nie wiadomo, gdzie urodzili się ci młodzi, zakochani w sobie ludzie: Ciech i Cinka. Kiedy to było? Nikt wam na to pytanie nie odpowie. Podobno byli bardzo szlachetni. Opiekowali się nie tylko starymi ludźmi, ale także chorymi zwierzętami i okaleczonymi ptakami. Jedyłą przeszkodą, stojącą na drodze ich szczęścia był fakt, że Cinka pochodziła z bogatego rodu, a Ciech z biednej rodziny. Któregoś dnia Cinka wyjawiała swojemu ojcu, że kocha dobrego, uczciwego, pracowitego człowieka.

– A któż to taki? – zapytał zaniepokojony ojciec, bowiem w wymienionych przez córkę przymiotach ewentualnego zięcia zabrakło tego najważniejszego: „bogaty”.

– Znasz go ojcze, to Ciech, syn rybaka Gniewosza.

Usłyszawszy to ojciec Cinki, zakrzuszył się tłustym mięsiwem, które właśnie pałaszował.

– Coooo? Ten nęę...dza...rz...?

– Ojcze, Ciech nie jest nędzarzem. Utrzymuje się z pracy własnych rąk, a poza tym ja go kocham – tłumaczyła Cinka, z trudem powstrzymując łzy.

– Nigdy, przeniędzy nie dopuszczę, by moja jedynaczka, spadkobierczyni taaaakiej fortuny, poślubiła syna biednego rybaka! Miłość? Córko, wierzaj mi, uczucie przeminie, a nędza zostanie!



Nic nie było w stanie przekonać ojca, że Ciech jest dla Cinki tym jednym, jedynym, z którym ona pragnie być do końca swego życia.

– Tobie, ojciec nie zależy na moim szczęściu – szepnęła zbolalym głosem i wyszła do ogrodu, dając tam upust zbierającemu żalowi. Długo płakała. Czasami płacz ten stawał się rozpaczliwym szlochem, docierającym do uszu ojca. Nie stopił on jednak lodowatego serca. Ciech i Cinka postanowili więc uciec, gdzie oczy poniosą. Ojciec w ogóle nie domyślał się, jakie są zamiary córki. Chodził po domu z surową miną, powtarzając od czasu do czasu:

– Bądź rozsądna, Cinko. Tymczasem ona, przytulając swój policzek do jego zmarszczonej twarzy, myślała: cokolwiek się zdarzy, zawsze będę cię kochać, tatku.

Nadszedł dzień, gdy dziewczyna opuściła swój rodzinny dom. Za lasem czekał na nią Ciech. Długo szli przed siebie. Minął tydzień, drugi, skończyły się zapasy. Żywili się leśnymi jagodami, słodkimi poziomkami. Wreszcie ujrzeli miejsce do innych niepodobne, zalaną słońcem rozległą polanę, na której przycupnęło kilka uroczych chat. Jacyś ludzie pochylali się nad warzywnymi zagonami, dzieci strącały z drzew dojrzałe jabłka do koszy, a złociste zboża stały jak miecze wbite w ziemię, bo żaden podmuch wiatru nie mącił ich spokoju. Ciech i Cinka krzyknęli jednocześnie: – Tu zostaniemy!

I tak też się stało. Pracowity Ciech zabrał się do stawiania domu. Życzliwi sąsiedzi pożyczili mu narzędzia. Cinka zaś, wytyczając zagonki wyliczała: tu będzie rosła soczewica... tu groch... a tu... fasola. Była bardzo szczęśliwa, ale w jej sercu wciąż istniał mały kącik wypełniony bolesną tęsknotą za ojcem.

– Cóż on tam, daleko ode mnie, robi? Może teraz żałuje, że sprzeciwiał się mojej miłości do Ciecha. Przecież wszyscy mogliśmy żyć zgodnie, razem... – dumiała. I wielkie łzy spływały po jej pięknej twarzy, aż było słychać: kap, kap, kap. Przez te łzy patrzyła na wzrastającą kapustę, ogórki, rzepę.

Po jakimś czasie, z tych słonych łez Cinki powstało solankowe źródło. Okoliczni mieszkańcy uznali je za cenny dar od nowej sąsiadki i na cześć kochającej się pary osadę nazwali Ciechocinkiem. Wydarzenia te dały początek ciechocińskiemu uzdrowisku, które do dziś jest tłumnie odwiedzane przez kuracjuszy. ♦



LEGENDA O MIECZU „BONUM ET FELICITATEM”

Działo się to dawno temu. Jak dawno? Nikt dokładnie nie pamięta. Nikt wówczas nie myślał, że piękne zalesione tereny będą świadkami wielkich wydarzeń, o których pamięć długo nie przeminie. Wszystko zaczęło się, gdy Rzymem rządził cesarz Konstantyn. Wielu kupców przemierzało wówczas szlak zwany bursztynowym. Całe tygodnie podróżowali w trudzie, aby nabyć dobra nieosiągalne w ich rodzinnych stronach. Servius szykował właśnie wozy przed drogą, gdy zauważył zbliżającą się postać:

– Czy oczy mnie nie mylą? Miłościwa pani cesarzowa? Czemu zawdzięczam tak wielki zaszczyt? – zapytał kłaniając się w pas.

– Tak, to ja – odpowiedziała Helena. – Możesz się wyprostować. Wiele słyszałam o waszych wyprawach i szlaku handlowym, na którym znaleźć można niesłychane dobra. Pragnę dać memu kochanemu synowi piękny i oryginalny kamień, który będzie pochodził z dalekich stron. Osobiście będę ci towarzyszyć w wyprawie za ziemie zwane Cuiavia.

– Ale... to niebezpieczne i to bardzo daleko – zatrwożył się Servius.

– Wszystko będzie dobrze. Bóg będzie nad nami czuwał – uspokoiła go znana z pobożności władczyni. – Poza tym, dla bezpieczeństwa towarzyszyć nam będzie Klaudiusz wraz ze swoją centurią.



Jechali już trzydzieści dni. Mijali ciemne bory, pełne dzikiej zwierzyny, wartkie rzeki i pola usiane barwnymi kwiatami. Ale celu podróży widać nie było. W końcu, gdy słońce lśniącem czerwonym blaskiem dawało znać, że czas rozbić obóz, zauważyli niewielką osadę.

– Patrzcie, tam ludzie mieszkają. Jechać dalej nie możemy, konie zmęczone, a i nam potrzeba odpoczynku. Poprośmy o gościnę – zaproponował Klaudiusz. I zatrzymali się w pięknej krainie, w grodzie niejakiego Wita.

– Goście z daleka do nas przybyli, z wojskiem i obstawą. Obdarzmy ich czym mamy, niech poznają tutejszą gościnność – nakazał Wit.

Helena, wdzięczna za okazane dobro, pragnęła ofiarować gospodarzowi dar – jak się później okazało – bardzo wyjątkowy.

– Cóż ja mu mogę dać? – pytała Boga pobożna niewiasta. – Majętna jestem, a nic nie mam przy sobie. Klejnoty i złoto zostały w Rzymie. Pomóż mi Panie okazać wdzięczność tym ludziom! Ty wszystko możesz! Doradź co mam zrobić! – prosiła i z modlitwą na ustach zapadła w sen.

Zobaczyła w nim postać jaśniejącą bardziej niż największy diament. Postawna i piękną, która przemówiła: – Dobroć goszczących was ludzi nie pójdzie w zapomnienie. Zrób co ci powiem. Ofiaruj im miecz, który ci zostawię. To musiał być anioł, wysłaniec Boży! – pomyślała rankiem. Jak wielkie było jej szczęście, gdy obok swego posłania ujrzała piękne ostrze.

Rankiem obóz był już zwinięty, a kupcy i świta szykowali się do dalszej wędrówki.

Helena tymczasem udała się wprost do Wita.

– Dobrze spałaś pani? Już nas opuszczacie? – przywitał ją z troską.

– Wicie, dobry z siebie i uczynny władca. Bliźniego szanujesz bardziej niżli siebie. Pragnę ci okazać moją wdzięczność. Nie mam kosztowności, ale przyjmij ten miecz. Sam anioł boży przekazał mi go we śnie. Kto go posiada, otrzyma dar niezwyklej roztropności. Mądrze rozstrzygał będzie sprawy swoich podwładnych, a rządy jego będą pomyślne. – Zaszczytny to dar, o pani!

– Wit był podarunkiem bardzo zaskoczony.

– Mój Bóg widać miłuje ciebie i pragnie cię chronić. Na znak tego przyjmij imię Witosław – oznajmiła cesarzowa.

– W moich progach zawsze będziecie mile widziani – zapewniał Wit, żegnając gości.

W grodzie Witosława rzez wiele pokoleń dziadkowie opowiadali tę historię z dumą, a wnuki z wypiekami na twarzach marzyły, że pewnego dnia i ich odwiedzi anioł lub cesarzowa. Ale jest już tak na świecie, że o wszystkim w końcu się zapomina. Zapomniano nawet i tę opowieść.

Minęło niemal 1000 lat. Na ziemiach polskich wielu już było chrześcijan, wyznających jednego Boga. Jednym z takich ludzi był Władysław – książę na Kujawach – władca dobry i pobożny. Serce miał czyste, a życie jego przykładem było dla innych. To ze względu na nie nazwano go Białym. Wiele lat Władysław zdobywał wiedzę, kształcił się jako mnich. Ksiąg tak wiele przeczytał, że można by rzec, iż uczonym chce zostać. On tymczasem poznać pragnął dzieje i podania dotyczące swego księstwa. Wielu wówczas chciało królem Polski zostać, równie wielu mówiło, że to Władysław Biały już wkrótce nim będzie.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle siedział nad księgami, trafił na fragment mówiący o tajemniczych przybyszach z Rzymu i pozostawionym przez nich darze. „A jeśli to prawda?” – pomyślał zaintrygowany. „Byłoby wspaniałe! Muszę to natychmiast sprawdzić!”

I rozpoczął poszukiwania śladów, które mogłyby go doprowadzić do „cudownego” miecza opieki i pomyślności. W ten sposób dotarł do miejsca zwanego Gniewcov.

– Do młynarza Nitki udaj się panie – radzili miejscowi chłopci. – Jego młyn widać stąd. Znajdziesz go na wzgórzu, tuż obok potoku Wirdzelewo.

– Poszukuję miecza opatrności, o którym czytałem w dawnych księgach – oznajmił, sądząc, że raczej na niepoczytalnego wyjdzie i nie poza stosami worków i białym kurzem w tym miejscu nie ma szansy odszukać. Jak ogromne było jego zaskoczenie, gdy młynarz bez słowa poprowadził go do piwnicy i pokazał mu skarb.

– Nie do wiary! To on! – krzyknął, padając na kolana.

W skrzyni leżał niebiańsko zdobiony miecz z wygrawerowanym na rękojeści napisem: „Bonum et felicitatem”, co znaczy: „Dobro i Pomyślność”.

– Mój świętej pamięci dziadunio, zacny był z niego człowiek, znalazł go tam w potoku, gdy koło młyńskie naprawiał – opowiadał młynarz. – Dziwny się już wtedy wydawał, bo on nic a nic zardzewiał nie był, ale cały czas taki czysty i lśniący, jak teraz. Za znak opatrności to uznaliśmy i dziadunio miecz schował.

– Niezwykłe, niezwykle – powtarzał zaskoczony Władysław.

– Najjaśniejszy panie, myśl, co chcesz, ale jak długo ten miecz w Gniewkowie leży, dobrze się tu ludziom wiedzie. W tamtych czasach to mała osada była, a teraz gród wielki otoczony murem mamy! A taki znaczący, że w 1268 roku prawa miejskie mu nadano – chwalił się młynarz.

– Mogę go dostać? – zapytał niepewnie władca.

– Jest twój panie. Jeśli tylko zabrać go zdołasz – kontynuował Nitka. – Wielu już przed tobą śmiazków kupić go próbowało, ale nikt nie wyszedł z nim poza mury. Dziwna siła drzemie w tym ostrzu. Ponoć tylko prawowity władca ziem na których jesteśmy, może tym mieczem dysponować i nosić gdziekolwiek zechce.

– Mimo wszystko spróbuję – postanowił Władysław.

Nawet nie wyobrażacie sobie, jak błogie uczucie go ogarnęło, gdy – ku własnemu zdziwieniu – bez problemów przekroczył mury miasta. Radość wielka zapanowała na jego zamku w Nowym Władysławowie – dzisiejszym Inowrocławiu. Wielkie zmiany zaszły od kiedy Władysław miecz niebiański przy pasie dzierżył. Dobrobyt jego i jego poddanych z dnia na dzień stawał się coraz większy, a wieści o tym co się stało, rozchodziły się po całej okolicy. Interesy szły dobrze jak nigdy, a wróg żaden nie mógł Władysława pokonać.

– To zasługi tego miecza – powtarzano w podzamczu. – Obietnica dana niegdyś Witosławowi, na pewno dotyczy naszego władcy Władysła-

wa! Tak, nikt nie miał co do tego wątpliwości. Rozpoczęła się złota era Księstwa Gniewkowskiego.

Rady z takiego obrotu wydarzeń Władysław, pragnął podziękować młynarzowi za to, że skarb największy jaki miał, oddał mu bez wahania.

– Wzniesienie, na którym Nitkowy młyn się znajduje, od teraz zwać się będzie „Nitkową Górą” – ogłosił. I nazwa ta po dzień dzisiejszy przetrwała.

Wielu władców podstępem i siłą próbowało władzę Władysławowi odebrać. I sam król Jan Kazimierz, zaniepokojony rosnącym w siłę księciem, coraz bardziej łakomym okiem na księstwo gniewkowskie spoglądać zaczął. Długie lata wojska Władysława niepokonane pozostały. Ale trwało to do czasu. Jak to się zazwyczaj dzieje, o biegu historii zadecydowały zdarzenia małe, niby przypadkowe. Niestety, podczas jednej z bitew, którą toczył Władysław, galopując na koniu, niefortunnie upuścił miecz. Wołanie: – Mój miecz! Mój miecz! Bez niego przegramy! – szybko dotarło do uszu wroga. Najbliższy jeździec popędził w stronę Władysława i ranił go tak, że ten omal przytomności nie stracił. Dowodzić dalej nie zdołał. Bitwę przegrał. Gdy ranny leżał, w księstwie kto inny rządy przejął. Kiedy wydobrzeł całymi dniami błakał się w okolicy pola bitwy, mając nadzieję odnaleźć miecz. Niestety miecz zaginął.

– O, ja nieszczęśliwy! – rozpaczał. – Nie ma tu już dla mnie miejsca.

I jak rzekł, tak wyjechał do klasztoru, w którym postanowił spędzić resztę życia.

– Modlić się za swoich byłych poddanych pragnę, przyjmijcie mnie – oznajmił przeorowi klasztoru. – Tylko Bóg mi pozostał.

Od tamtego czasu różnie w Gniewkowie się działo – raz lepiej, raz gorzej. Złote czasy po dziś dzień ludzie wspominają z nostalgią i nadzieją w głosie, bo takiego dobrobytu jak wówczas – gdy miecz dzierżył prawowity władca – nigdy się już nie doczekali. Legenda głosi, że miecz ukryty gdzieś na Kujawach, znów czeka na kolejnego władcę, którego serce będzie tak dobre, jak Witosława i Władysława. ♦



JADWIGA PRZY STUDNI

Cała Rzeczypospolita boleśnie odczuła najazd Szwedów w 1655 roku. Najeźdźcy tratowali niwy, palili wsie i miasta, grabili wszystko, co wpadło im w ręce. Kościoły zmieniali w magazyny czy stajnie. Nic więc dziwnego, że najazd ten nazwano „potopem”. Również okupowany przez Szwedów Grudziądz ciężko znosił ich obecność.

Grudziądzki patrycjusz Kacper Miechota, patrzył z pogardą przez okno swojego domu na panoszących się na rynku szwedzkich żołdaków. Był bogatym kupcem, wiele jeździł po świecie, ale takiego barbarzyństwa jeszcze nie widział. Ci Szwedzi są sto razy gorsi niż bandy rozbójników na drogach. Nie tylko kradną wszystko, co im pod rękę się nawinie, ale bezczeszczą największe świętości. O proszę, stoją na rynku, piją piwo z naczyń liturgicznych!

Kacper już kilka miesięcy temu miał ruszyć z karawaną na południe Europy, ale zalew tych dzikusów zniweczył jego zamiary. Musiał przecież strzec swej ukochanej jedynaczki. Siedziała właśnie przy kołowrotku, jednak co jakiś czas przerywała pracę i zamyślona spoglądała w okno.

– Co jej jest? – zafrasował się Kacper. – Od pewnego czasu wydaje się jakaś rozkojarzona, często wypada jej coś z rąk. Była przecież zawsze tak staranna w działaniu.





PRZEPOWIEDNIA KRÓLOWEJ JADWIGI

-Zastanawiam się, miłościwa pani, czy te nasze spory z Krzyżakami kiedykolwiek się skończą... – mówił prezbyter, duchowny pomocnik biskupa, Wojciech Jastrzębiec do swej ukochanej królowej Jadwigi Andegawenki. Służył swej pani niemal od dnia, gdy ta zasiadła na polskim tronie, bo on właśnie, w tym samym 1384 roku, otrzymał święcenia kapłańskie. Ile już minęło lat od tamtego czasu? Czternaście! Tak, jest przecież wiosna 1398 roku. Nigdy nie zapomni tego październikowego dnia, gdy młodzianka, bo licząca sobie zaledwie 10 lat, królowa węgierska przybyła do Krakowa, a trzy dni później, arcybiskup Bodzanta koronował ją na króla Polski. Mimo młodzianckiego wieku wszystkich uderzało jej dostojęństwo. Dwa lata później poślubiła, starszego od siebie o ponad 20 lat, księcia litewskiego Jagiełłę, wyrzekając się miłości do tego, którego wcześniej umiłowała – Wilhelma Habsburga. Uczyniła tak, bo rozumiała, że jej nowa ojczyzna potrzebuje sojusznika do walki z zakonem krzyżackim. A tym sojusznikiem, przez jej małżeństwo, stawała się Litwa.

– Tak sobie myślę, miłościwa pani – ciągnął Wojciech Jastrzębiec. – Jak wielka odpowiedzialność spoczywa na rządzących, jak tragiczne bądź zbawienne skutki dla kraju mogą mieć ich decyzje. Na przykład, gdyby 150 lat temu księżę piastowski, Konrad Mazowiecki, nie sprowadził do Polski Krzyżaków, jakże odmienna byłaby dziś kondycja naszego kraju. Mielibyśmy

– Jadwisiu, córeńko moja kochana, czyś ty nie chora?

Dziewczyna drgnęła, jakby gwałtownie ktoś ją ze snu przebudził.

– Tatku, wszystko dobrze. Może to wiosenne słońce zbyt śmiało przygląda się mojej twarzy? Ale gorąco, uff? Muszę teraz wyjść do Kachny, biedaczka zachorowała.

Następnego dnia Kacper spotkał ową Kachnę, najlepszą przyjaciółkę Jadwisi, na grudziądzkim rynku. Była rumiana, bez najmniejszego śladu choroby.

– Tak szybko wyzdrowiałaś? – w oczach Kacpra malowało się wielkie zdumienie.

– Nie rozumiem... – czerwone policzki dziewczyny jeszcze bardziej pokraśniały.

– Przecież moja Jadwisia wyszła wczoraj z domu, mówiąc, że idzie do ciebie, boś chora...

– Ależ ja nie widziałam Jadwisi od tygodnia, a może jeszcze dłużej. I to jeszcze króciutko, bo gdzieś się spieszyła!

„Moja córka coś przede mną ukrywa” – pomyślał zasmucony ojciec.

Kiedy więc następnego dnia Jadwisia wymknęła się z domu, Kacper podążył za nią. Tak się spieszyła, że trudno było za nią nadążyć. Dotarła wreszcie do przyzamkowej studni, gdzie czekał na nią... o zgrozo! – szwedzki oficer. Dziewczyna zarzuciła mu rękę na szyję, a on objął ją czule. Kacper Miechota aż kucnął z przerażenia. Był zdruzgotany. Miłość jego jedynaczki do oficera wrogich wojsk była dla niego nie do przyjęcia. Powłócząc ciężko nogami, wrócił do domu. Kiedy po kilku godzinach zjawiała się Jadwiga, tłumacząc swoją długą nieobecność kolejnym kłamstwem, nie zdradził się przed nią, że już zna całą prawdę. Bacznie jednak obserwował córkę. Domyślał się, że zamierza ona pewnie uciec z ukochanym do Szwecji... Skrycie pakowała już tobolek, a gdy pewnej nocy włożyła do niego wszystkie kosztowności, ojciec uznał, że musi działać.

Nazajutrz, późnym wieczorem, Jadwiga z tobolekiem zjawiała się przy zamkowej studni i przerażona ujrzała leżące przy niej martwe ciało ukochanego. Zrozpaczona cisnęła do studni tobolek z całą zawartością, a sama wkrótce wstąpiła do klasztoru benedyktynek. Niektórzy grudziądzanie do dziś próbują odnaleźć w studni wrzucone przez nią kosztowności. Na razie jednak bez rezultatu. ♦



większe terytorium, dostęp do morza, nie mówiąc już o zgliszczach i o mordach dokonywanych przez rycerzy z krzyżem na płaszczach.

– Prawda, mój Wojciechu – piękna twarz królowej Jadwigi przybrała wyraz głębokiego smutku. – Wyobrażam sobie, jakich to pokretnych argumentów będą oni używać podczas naszych rozmów we Włocławku.

Królowa Jadwiga, po pożegnaniu w Gnieźnie męża, króla Władysława Jagiełły, jechała ze swoim doradcą, Wojciechem Jastrzębcem, do Włocławka, gdzie miała podjąć wstępne rozmowy z Krzyżakami i sprawdzić, czy są skłonni do negocjacji w sprawie zawłaszczonej przez nich ziemi dobrzyńskiej. A potem... wszystko zależało od wyniku spotkania. Umówiła się z mężem, że on będzie czekał na nią w Inowrocławiu. Królowa, mimo swojego młodego wieku – miała wówczas zaledwie 24 lata – wykazywała się wielką przenikliwością w sprawach politycznych. Dążyła do utrzymania pokoju w stosunkach z zakonem krzyżackim, ale nie za wszelką cenę. Piękna, wykształcona, szlachetna, była uwielbiana przez lud za swoją dobroczynną działalność. Gdy podróżowała kiedyś po Wielkopolsce, do jej uszu dotarła wiadomość, że rycerze królewscy zabrali chłopom z pewnej ubogiej wioski całe zboże oraz bydło. Oburzona zachowaniem rycerzy poinformowała o ich działaniach króla. Ten zapewnił ukochaną żonę, że wynagrodzi wieśniakom wszystkie straty.

– To dobrze, ale kto im łzy powróci? – zapytała Jadwiga.

Po dotarciu do Włocławka królowa rozpoczęła rozmowy z przedstawicielami zakonu. Bardzo szybko zorientowała się, że nie ma w nich woli na pojednanie. Ich słowa były wierutnym kłamstwem. Jadwiga z pogardą patrzyła na te fałszywe lisy w ludzkiej skórze. Z bólem serca rozmyślała o tym, że Krzyżacy znajdują posłuch w Europie zachodniej, że kreowany przez nich samych wizerunek krzewicieli wiary chrystusowej zyskuje tam wielkie uznanie. Znużona krzyżackimi łgarstwami uznała, że dalsze rozmowy nie mają sensu. Wtedy jeden z rycerzy zakonu rzekł:

– Wiemy, najjaśniejsza pani, że udajesz się teraz do Inowrocławia, gdzie czeka na ciebie twój zacny małżonek, król Władysław Jagiełło. Pozwól, że i my tam przybędziemy. Może król doceni nasze starania o poprawę relacji między Polską a Zakonem NMP Domu Niemieckiego.

Gdy Jadwięga powróciła do Inowrocławia, Jagiełło wiedział już o fiasku włocławskich rozmów. Para królewska udała się więc do kościoła pw. św. Mikołaja, by tam żarliwie modlić się o szczęście ojczyzny. Nagle, przy wejściu do świątyni rozległy się jakieś głosy. Niemal jednocześnie małżonkowie zwrócili swe głowy w tamtą stronę i ujrzeli grupę dostojników krzyżackich. Jadwięga ponownie spojrzała na wizerunek Najświętszej Panienki i dokończyła modlitwę. Kiedy tylko powstała z klęczek, usłyszała:

– My, dostojnicy zakonu krzyżackiego pokazując niezwykłą wręcz wolę pojednania z Królestwem Polskim...

Słowa odpłynęły. Królowa nie musiała ich słuchać, bowiem znała je niemal na pamięć. Widziała tylko te szybko poruszające się usta, te pewne siebie, pełne buty miny. Gdy wreszcie wargi Krzyżaka zwarły się, co oznaczało tylko jedno „skończyłem”, królowa odezwała się mocnym głosem, zaś oczy jej płonęły gniewem:

– Nosicie na swych płaszczach krzyż – jakim prawem? Sądzicie, że Stwórca nie widzi tego, co czynicie? Zapamiętajcie: Bóg nie jest rychliwy, ale jest sprawiedliwy. Oto moja przepowiednia, która się ziści, gdy mnie już wśród żywych nie będzie. Mój mąż, Władysław Jagiełło, stanie się waszym pogromcą, a wy, plugawe plemię, już nigdy do swojej świetności nie powrócicie!

Po wypowiedzeniu tych słów piękna i dumna królowa Jadwięga, spojrzawszy jeszcze z pogardą na przybyłych dostojników krzyżackich, odwróciła się gwałtownie i opuściła świątynię. W 1399 roku królowa zmarła – trzy tygodnie po wydaniu na świat córeczki Elżbiety. Jej słowa okazały się prorocze. 15 lipca 1410 roku na polach Grunwaldu zmiażdżona została na zawsze potęga krzyżacka, a dokonał tego król Władysław Jagiełło wraz z dzielnym rycerstwem polskim i litewskim. ♦



O CUDOWNYM KRUCYFIKSIE W KCYŃSKIM KOŚCIELE

W stojącym przy keyńskim rynku pokarmelićkim kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP, znajduje się cudowny krucyfiks z umieszczonymi na nim ludzkimi włosami. Z jego historią związana jest niezwykła legenda.

Gdy w wyniku I rozbioru Polski w 1772 roku Kcynia znalazła się pod pruskim zaborem, nowe władze starały się zniemczyć ludność, mieszkającą na zagarniętych ziemiach, a ze szczególną zaciętością zwalczały kościół katolicki. Kcynianie dzielnie się temu przeciwstawiali, mimo że los co jakiś czas wystawiał ich na ciężkie próby. Czy można sobie wyobrazić rozmiar rozpacz, jaka ogarnęła wszystkie kochające to miasto serca, gdy pewnej nocy 1775 roku w wyniku strasznego pożaru spłonął należący do karmelitów kościół. Pozostała z niego jedynie kapliczka, w której mieściła się tylko garstka wiernych. O niedzielnym nabożeństwie z udziałem wszystkich kcynian, pragnących usłyszeć Słowo Boże, mowy być nie mogło.

Karmelici jednak nie załamywali rąk. Dobrze znali historię swojego zakonu, która toczyła się zgodnie z porzekadłem „raz na wozie, raz pod wozem”. Zakon powstał w XII wieku w Palestynie, na Górze Karmel, podczas wypraw krzyżowych, gdy chrześcijanie z muzułmanami toczyli krwawe boje o Ziemię Świętą.



Iluz wtedy karmelitów poniosło śmierć męczeńską! Różnie też się działo, gdy w XIII wieku przybyli oni do Europy. Do Polski sprowadzeni zostali przez Jadwigę Andegawenkę i jej męża, króla Władysława Jagiełłę. Zakonnicy założyli wiele klasztorów, budowali kościoły i otaczani byli powszechnym szacunkiem. Kiedy jednak rozpoczął się okres rozbiorów Polski, karmelici musieli radzić sobie nie tylko z nasilającą się polityką germanizacyjną, ale również dodawać otuchy Polakom. Pokrzepiać ich dobrym słowem, wzbudzając nadzieję, że nieszczęście, jakie spadło na naród polski, kiedyś na pewno się skończy i ojczyzna znowu będzie wolna.

W Keyni usuwano zgliszcza, jakie pozostały po spalonym kościele i jednocześnie rozpoczęto zbiórkę pieniędzy na jego odbudowę. Keynianie ofiarnie angażowali się we wszystkie działania. W miasteczku mieszkała pewna dziewczyna o imieniu Katarzyna. Powszechnie mówiono do niej „Kasieńka”, bo tak ją lubiano za jej dobroć i nieustanną gotowość niesienia pomocy innym.

- Kasieńko, przyniesiesz mi ze studni wody?
- Kasieńko, kup mi u starego Rocha chlebek chrupiący!
- Kasieńko, popilnuj mi moją Jagódkę, bo muszę na chwilę wyjść z domu!
- Kasieńko, wyrwij w moim ogródku te straszne chwasty, bo ja już taka stara jestem, w krzyżach mnie łupie i schylać się nie mogę!

Takie okrzyki rozlegały się zewsząd, a Kasieńka dwoiła się i troiła, żeby wszystkim pomóc. Rodzice jej umarli, gdy liczyła sobie zaledwie kilka lat, a jedyną bliską osobą, jaką miała na świecie, był jej brat Janek. Rodzeństwo kochało się bardzo i zawsze wzajemnie wspierało.

Janek zwierzył się kiedyś siostrze, że jest zakochany w Marysi, córce keyńskiego zduna. Martwił się trochę, czy on, biedny chłopak, ma szansę u takiej panny.

– Oczywiście, że tak! – zapewniała Kasieńka. – Jesteś przecież bardzo pracowity i zapewnisz przyszłej żonie godziwe życie. Zresztą, tu dziewczyna znacząco się uśmiechnęła, wydaje mi się, że ty też wpadłeś jej w oko.

– Ech, Kaśka, chcesz mnie tylko pocieszyć... – mówił niepewnie Janek, chociaż widać było, że radują go słowa siostry.

– Wiesz, Marysia przyjaźni się z Krysią, z tą córką kowala. A ja znam Krysię i ona mi powiedziała...

– Co? Co? – dopytywał się coraz bardziej zaintrygowany Janek.

– Domyśl się. Obiecałam Krysi, że tego nie powtórzę!

Rozmowy takie toczyły się wieczorami, bo w dzień chłopak ciężko pracował, a i Kasia miała ręce pełne roboty, prowadząc nie tylko ich wspólny dom, ale i pomagając innym.

Nadszedł jednak taki czas, że Janka powołano do armii pruskiej. Siostra drżała z niepokoju o jego życie i codziennie przychodziła do ocalałej z pożaru kaplicy, by błagać Boga i Najświętszą Panienkę o zachowanie w zdrowiu tej najdroższej dla niej istoty.

– Błagam, niech Janek jak najszybciej do domu z wojny powróci – szeptała, wpatrując się w umęczone oblicze Jezusa i jego cierniową koronę.

Gdy karmelici kwestowali na rzecz odbudowy spalonego kościoła, zrazu Kasine serduszko wielce się zafrasowało, bo przecież była ona bardzo biedna. Całymi godzinami zastanawiała się, co może ofiarować na ten szczytny cel i nic nie przychodziło jej do głowy. Przecież nie da tych znoszonych trzewików z dwiema dziurami na czubku, ani fartucha, który jeszcze matuś najmiłsza nosiła. Kiedyś jednak usłyszała od sąsiadki:

– Och, Kasieńka, tak cudnego warkocza złotych włosów, jaki ciebie zdobi, to żadna kcyńianka nie ma!

To wtedy niczym błyskawica raziła ją myśl: „Oczywiście, ofiaruję Chrystusowi swoje włosy!”

Bez namysłu obcięła piękny warkocz i zawiesiła na cierniowej koronie Zbawiciela, a czyniąc to, błagała jednocześnie Stwórcę, by pozwolił bratu szczęśliwie do domu powrócić.

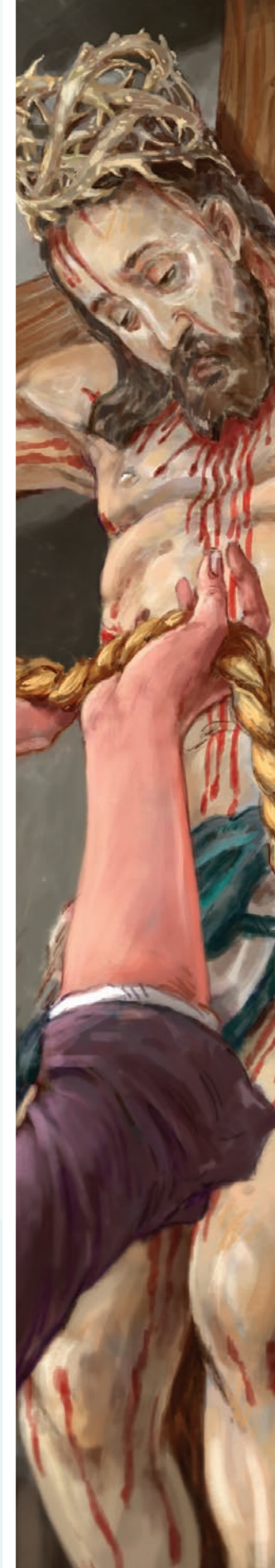
Następnego dnia do kaplicy zaczęły napływać tłumy, by ujrzeć coś niezwykłego: Kasine włosy wrosły w skronie Zbawiciela. W ciągu następnych dni stały się dłuższe, a potem jeszcze dłuższe... Wieść o tym wydarzeniu rozeszła się po całych Pałukach i wędrowała dalej i dalej...

Zewsząd tłumnie przybywali ludzie, by ujrzeć niezwykle zjawisko. Dzięki temu z dnia na dzień rosły srodki przeznaczone na odbudowę kościoła. Jednakże po jakimś czasie włosy umieszczone na krucyfiksie przestały rosnąć. Podobno stało się to za sprawą nieuczciwego organisty, który chcąc się na cudzie wzbogacić, zaczął włosy podcinać i sprzedawać jako lekarstwo.

Kasine modły zostały wysłuchane. Janek szczęśliwie powrócił z wojny i wkrótce oświadczył się Marysi. Ich ślub odbył się w odbudowanym kościele karmelitów. Na weselu brata Kasia poznała miłego chłopca – Wojtkę, który z zawodu był cieślą. Niebawem Kasia i Wojtek pobrali się. Przy budowie ich wspólnego domu pomagał Wojtkowi Janek. Zamieszkali w nim wszyscy czworo. Minęły lata, przyszły na świat dzieci, które gramoląc się na kolana Kasi, pytały:

– Opowiedz, mamo jeszcze raz, jak wyglądały kiedyś twoje włosy?

– Ciociu, ciociu! Zawiesiłaś je na cierniowej koronie Jezuska i co się potem zdarzyło? ♦





SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA GRABINA?

Z górzystego, koronowskiego parku zwanego Grabiną, rozciągał się niegdyś piękny widok na całe miasto. Obecnie zasłaniają go wysokie drzewa. Skąd wzięła się ta nazwa?

Działo się to w zamierzchłych czasach, kiedy burmistrzem miasta był zacny człowiek imieniem Mateusz. Ku zadowoleniu koronowian, długo sprawował on swój urząd. Dobry to był gospodarz, dbał o swój ludek i wszystkich szanował, również tych najuboższych. Często zaglądał do ich skromnych chatek, pytając o zdrowie. Dobrze żył też z rzemieślnikami, sprzyjał ich gospodarczym działaniom i duma go rozpierała, że koronowskie piwo chwalą wszyscy i to nie tylko w okolicy. Sam zresztą również był jego smakoszem. Kiedy chodził ulicami ukochanego miasta, komplementował dziewczynom i niejedna z nich miała nadzieję, że stanie się wybranką jego serca. Wreszcie strzała Amora dosięgła i jego, a wieść o tym lotem błyskawicy obiegła całe miasto.

– Nasz burmistrz oświadczył się Mariannie, córce piwowara Stanisława Grzybowskiego!

Weselisko było huczne, bo zaproszono na nie wszystkich koronowian. Wkrótce jednak zaczęły się dziać w mieście niepokojące, dziwne rzeczy.



Na jego skraju rozbili swoje obozowisko dziwni Cyganie. W samym Koronowie od lat mieszkało kilkoro Romów i powszechnie ich lubiano, ale nowi przybysze weale nie byli podobni do tych osiadłych. I nie chodzi tu tylko o wygląd, ale o to, co mówili, pojawiając się w karczmie.

– Wiemy, wiemy, dobrze dzieje się w mieście, macie słynnego burmistrza, ale przecież może się wam dziać jeszcze lepiej.

– Nam starcza, nie jesteśmy zachłanni – odpowiedział Witek Golonka.

– Ale od przybytku głowa nie boli? – pytał groźny Cygan o włosach czarnych jak krucze pióra.

– Nie! Trzeba jednak znać słowo „dość”! Gdy myśli się tylko o pieniądzach, serce jałowuje jak gleba bez wody – zauważył Antek Kopytko.

– Aaa tam, aaa tam, życie jest tylko jedno. Trzeba z niego czerpać całymi garściami – przekonywał mały i krępy Cygan, którego oczka świdrowały wszystkich jak ostre narzędzia.

– Nie kuście, bo skusić się nie damy! – krzyknął zniecierpliwiony Zbych, „Dzwonem” zwany.

Pewnego dnia koronowski burmistrz wezwał do siebie cygańskiego wójta, którego znał od lat i tak mu rzekł:

– Dotąd nie mieliśmy z Cyganami żadnych kłopotów, ale ci, którzy niedawno przybyli, ludzi do buntu podżegają.

– Nie znamy ich – zapewniał cygański wójt. – Jednak spróbujemy pomóc.

Gdy nazajutrz wieczorem ci „nowi” Cyganie pojawili się w karczmie, jej próg zaraz przekroczyli Cyganie od dawna mieszkający w Koronowie.

– A co wy nam przyjaźń z koronowianami psujecie? – surowo zapytał cygański wójt. I... zaczęła się bójka, podczas której „nowym” czapki z głów pospadały i wtedy wszyscy ujrzeli, że mają oni... rogi!

– Toż to diabły! – wrzasnął Zbych, zwany Dzwonem.

– Zgadza się! – szyderczo zaśmiał się ten o włosach jak krucze pióra. – I zrobimy wszystko, aby was zniszczyć, za to że paktów z nami nie chcieliście zawierać. Ukradniemy wam księżyc i miasto wasze pograży się w wiecznej ciemności.

Złowieszczco błysnęły ich zębiska, zaiskrzyły się diabelskie ślepie i już ich nie było. W powietrzu pozostał tylko dziwny zapach.

– Siarka... – szepnął Witek Golonka.

Kilka dni później burmistrz Mateusz ciężko zachorował. Minął tydzień, drugi, trzeci, wciąż nie był on w stanie podnieść się z łóżka. W końcu wezwał do siebie starą Cygankę.

– Powiedz mi szczerze: wyzdrowieję, czy mam się już oglądać na księżą oborę?

– Wyzdrowiejesz – zapewniła Cyganka. – Musisz jednak wykonać pewne zadanie: udasz się na wzgórze pod Koronowem, gdzie pozostaniesz kilka dni i będziesz mył się o świcie ranną rosą.

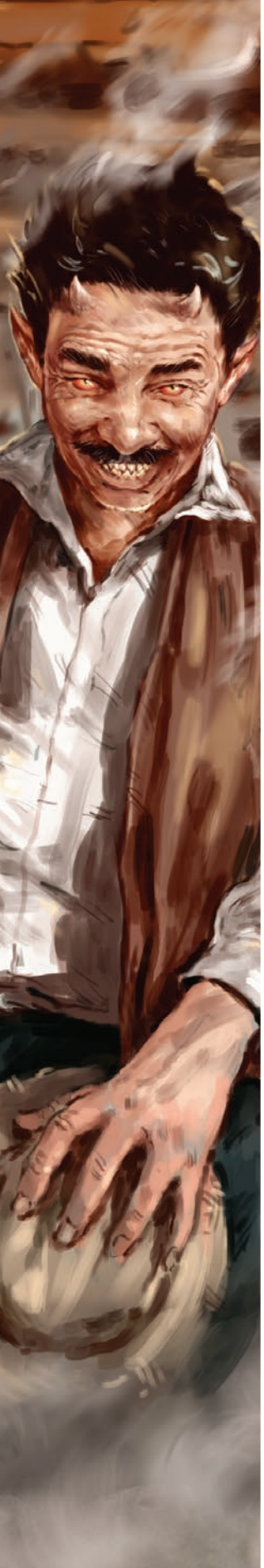
Burmistrz nie był w stanie sam dotrzeć na wskazane miejsce, więc zanie-siono go tam. Leżał na wzgórzu, patrzył w stronę ukochanego miasta i myślał z rozrzewnieniem:

„Znam tam każdą ulicę i wszystkich mieszkańców. Kocham ich i oni chyba mi to uczucie odwzajemniają, opowiadają mi o swoich radościach i troskach. Tak bardzo chciałbym dalej im służyć!”

Gdy nadchodził ranek, burmistrz zgarniał z soczyście zielonej trawy rosę i wcierał ją w skórę. Miał wrażenie, że zalecona przez Cygankę kuracja naprawdę skutkuje. Nastąpiła trzecia noc. Mateusz patrzył w niebo, na którym księżyc przybrał kształt rogała. Sen kleił mu oczy, gdy nagle do jego uszu dotarły jakieś szmery: czy to sen czy jawa? Nie musiał się nad tym długo zastanawiać, bo zaraz ujrział wyłaniające się z pobliskich krzaków postacie. Trzymały one w dłoniach drabiny. Burmistrz lekko wsparł się na łokciu i...już nie miał wątpliwości: to te diabły... w świetle księżyca wyraźnie widać rogi!

Drabiny zostały ustawione i zaraz potem ci, którzy niedawno udawali Cyganów, zaczęli ochoczo wspinać się po szczebelkach.

– Zaraz ukradniemy im księżyc – diable głosy były radosne i przera-dzały się w coraz donośniejszy chichot. Ale w tej chwili rozległ się tubalny, zdecydowany głos:



– Mówi do was gospodarz tego miasta. Nie ukradniecie nam księżycy! Niech was piekło pochłonie, na wieki, wieków! Amen.

I wtedy niebo przecięła błyskawica, poprzedzona potężnym grzmotem. Szczeble drabiny zaczęły się łamać i wbijać w ziemię, a niebawem w tym miejscu wzrósł lasek grabów. A diabły? Już ich nie było. Kiedy nazajutrz Mateusz po długim śnie otworzył oczy, czuł się jak nowo narodzony. Zerwał się na równe nogi i wtedy ze zdumieniem ujrzał rosnące wokół graby. Wkrótce miejsce to nazwano Grabiną. ♦



O POPIELU, KTÓREGO MYSZY ZJADŁY

Żle się działo w kruszwickim grodzie, a i ludność okolicznych wsi miała powody do narzekania. Wspominano z tęsknotą dobrego króla Popiela I, który troszczył się o poddanych, nie uciskał ich daninami, a w czasie suszy zbożem z własnych spichlerzy od głodu ratował. Teraz jednak w kruszwickim zamku mieszkał syn, zmarłego kilka lat wcześniej Popiela I – Popiel II. Będąc jeszcze dziecięciem, często objeżdżał z ojcem okolicę. Miły był to chłopiec, wieśniaków wypytywał o zbiory, a z chłopskimi dziećmi lubił pobaraszkować. Wszystko zmieniło się, gdy stary król na zawsze zamknął oczy, a na zamku pojawiła się żona młodego władcy – Gerda. Skąd Popiel ją przywiózł? Powiadano, że z Niemiec. Była piękna, ale i okrutna. Po okolicy rozchodziły się wieści, że z lubością wrywała ptakom piórka, a muszkom skrzydełka. Bały się jej psy i koty, bo każde z nich czuło, że za spojrzeniem lekko przymrużonych oczu złej pani, przyjdzie zaraz cierpienie. Powiadano, że Popiel jest wprawdzie władcą, jednak rządy nad nim sprawuje Gerda. Bała się jej cała służba, nawet rycerze zakuci w zbroję czuli pod swymi przyłbicami świdrujący wzrok tej, jak ją między sobą nazywali, sekutnicy. Dlatego dziwnym może się wydawać fakt, że wszechwładna królowa bała się... myszy! Ujawniło się to w czasie jednej z uczt, gdy na środku izby biesiadnej pojawił się mały gryzoń. Wtedy to, zawsze



przymrużone oczy Gerdy, zrobiły się okrągłe jak młyńskie koła. Jednocześnie, wydając z siebie dźwięki podobne do ryku lwa, wskoczyła na ławę i drepcząc po niej, rozpaczliwie machała rękoma. Widok był tak komiczny, że biesiadnicy, powstrzymując wybuch śmiechu, powsadzali głowy pod stoły, udając, że chcą złapać białe maleństwo. Ale wcale nie mieli takiego zamiaru, bo po raz pierwszy ujrzeni, że ta kobieta o lodowatym sercu ma jakąś słabość. Tymczasem myszka z przyjemnością zjadała kawałeczki serka, które wcześniej spadły ze stołu.

– Łapać wroga! – wrzasnął wstrząśnięty przerażeniem żony Popiel. – Usiec!

Na rozkaz władcy rycerze wygramolili się spod stołów, ale zrobili wszystko, by myszka, która dostarczyła im tyle uciechy, zdołała uciec.

W ciągu pięciu lat rządów Popiela II i Gerdy, niechęć do nich narastała z każdym dniem. Trudno się temu dziwić, bo niemal codziennie zdzierano z okolicznej ludności daniny. Coraz rzadziej wokół chat chłopskich można było usłyszeć: „ko-ko”, „mu-mu” czy „chrum-chrum”. Wieści o okrutnych rządach kruszwickiego władcy dotarły do mieszkających w Myszyńcu jego stryjków. Postanowili oni przybyć do Kruszwicy, aby poskromić bratanka. Zastali go przy biesiadnym, suto zastawionym stole. Dzbany były pełne trunków. Jeden ze stryjów szepnął do pozostałych:

– Rację mają ludzie, powiadając „u Popiela wina wiewa”!

Bratanek zaprosił krewniaków do stołu słowami:

– Raczej się stryjaskowie, gąski, kurki, kaczuszki, świnki – wszystkiego mam tu pod dostatkiem.

Najstarszy ze stryjków odrzekł:

– Nie na biesiadę my tu przybywamy, Popielu. Wieści smutne do naszych uszu docierają. Okrutne są twoje rządy. Ludzie uginają się pod ciężarem nałożonych danin, a twoja żona wciąż sprowadza z dalekich krajów drogie szaty, kosztowności, pachnidła.

Po tych słowach przymrużone oczy Gerdy zwały się jeszcze bardziej. „Oj, stryjaskowie, chcecie wprowadzać nowe porządki w moim królestwie? Niedoczekanie”. Tak pomyślała okrutna pani, ale nie wyrzekła ani słowa. A stryj kontynuował:

– Czy chcesz bratanku, by potomni wspominali kiedyś Popiela II jako pozbawionego litości zdziercę? Mogą ci nadać przydomek „Zły” albo „Hulaka”, bo jak słyszymy i niestety widzimy, od trunków nie stronisz!

Mowa była długa i zawierała całą prawdę o rządach Popiela II i jego małżonki. Stryj zakończył ją słowami:

– Bratanku, wzywamy ciebie do opamiętania się! Życie ludzkie trwa krótko, a pamięć jest długa, czasami nawet wieczna!

Po dłuższej przerwie głos zabrał Popiel II:

– Stryjowie moi! Usłyszałem wiele gorzkich i cierpkich słów o sobie. Powiniennem na nie odpowiedzieć i pragnę to uczynić. Jednak wasz przyjazd jest tak niespodziewany, że nie jestem w stanie od razu wygłosić odpowiedniej mowy. Pozwólcie więc, drodzy krewniacy, że udam się do innej izby, by tam zebrać myśli.

Wtedy zawołała Gerda:

– I ja mężu z tobą, wszak stryjowie i do mnie skierowali wiele przykrych słów.

Gdy Popiel z żoną opuścili biesiadników, stryjowie jęli deliberować.

– Jak sądzicie, opamięta się? Wprawdzie minę miał nietęgą, ale ty, Zbylucie, przemówiłeś takimi słowami, że tylko głazu by one nie poruszyły!

Najstarszy ze stryjów odpowiedział:

– Ja wierzę, że się odmieni, przecież to nasza krew!

Wreszcie pojawił się Popiel z żoną u boku. Gdy umilkły wszystkie głosy, rzekł:

– Moi drodzy krewniacy! Głęboko przemyślałem wasze słowa. Nie były one dla mnie miłe, ale – tu Popiel wziął głęboki oddech – niestety prawdziwe.

W tym momencie oczy stryjów rozjarzyły się radością.

– Pragnąc pozostać w pamięci poddanych i potomnych, jako władca dobry i sprawiedliwy, od dzisiaj inaczej będą wyglądać moje rządy! A z Was – tu wskazał ręką na stryjów. – Chcę uczynić radę doradców.

Izba aż zatrzęsa się od chóralnego okrzyku: – Hurra! Niech żyje Popiel II!

Usta króla ułożyły się w szeroki uśmiech.

– Zatem, kochani krewniacy, wypijmy za pomyślność mojego państwa, rządzonego odtąd przy pomocy mądrych i szlachetnych ludzi – zaproponował gospodarz.

To mówiąc, podał stryjom dzban wypełniony znakomitym winem. Każdy z nich brał potężny haust, po czym podawał dzban następnemu. Na końcu Motel (najmłodszy ze stryjów) podał go Popielowi i zawołał: – Pijże, Popielu, na zdrowie!

Kiedy jednak spojrzał na bratanka, przeraził się, bo jego wzrok był pełen nienawiści.

– Stryjkowie, ja nie mogę wam powiedzieć „na zdrowie!”, a jedynie „na śmierć!”, bo zaraz żywot wasz dobiegnie końca. To wyśmienite wino jest bowiem zatrute.

Nim sześć ciał zważyło się z hałasem na ziemię, najstarszy ze stryjów, Mieszko, wychrypiał złowieszczo:

– Klątwa na was, na cały ród Popielów! Przeklinam was, a śmierć wasza niech będzie straszniejsza od naszej!

Biesiadnicy stali jak zamurowani. Za to Gerda uśmiechała się triumfalnie. Wiedziała, że ukryta w jej pierścieniu trucizna okaże się niezawodna. Już raz ją wypróbowała, kiedy to otruła swoją służkę, która czesząc ją kiedyś nieopatrnie, wyrwała kilka pięknych włosów władczyni. Tymczasem Popiel, wodząc po zgromadzonych groźnym wzrokiem, rzekł:

– Ktokolwiek z was piśnie słowo na temat wydarzeń, których był tu świadkiem, zostanie ukarany gardłem. Nocą ciała mych niegodziwych krewniaków służba wrzuci do Gopła.

Minęło kilka dni. Życie na kruszwickim zamku znowu wypełnione było hulankami. Zadowolony Popiel myślał: „Już nikt nigdy nie będzie mi ciosał kołków na głowie”. Z kolei podła Gerda rozmyślała: „Jakże słodka była to zemsta”. Dotykała przy tym pierścieniem z trucizną swego gładkiego lica. Gdy wbiła ostre zęby w chrupiącą skórę gęsiny, by delektować się jej smakiem.

– Auć! – coś ukłuło ją w kostkę. Księżna pochyliła się, żeby ukarać jakąś uprzykrzoną muchę, gdy nagle... Nie, to niemożliwe – mysz! Spod stołu wydobył się lwi ryk Gerdy. Wszyscy w zdumieniu zwrócili głowy w jej stronę. Tymczasem zła pani, tak piękna jeszcze kilka chwil wcześniej, z rozwianym włosiem i dzikim

wzrokiem znalazła się na ławie, dziwnie podskakując. Miała ku temu powód, bo wokół zaroilo się od gryzoni. Otaczały Gerdę, kasały po nogach, wychodziły z dzbanów oraz mis wypełnionych jadłem. Atakowały też Popiela, który daremnie się od nich opędał.

Wtem przerażony władca przypomniał sobie o klątwie rzuconej przez najstarszego stryja i krzyknął do żony:

– Musimy uciekać! Schronimy się na wyspie!

Wskoczyli więc do łodzi i co sił wiosłując, popłynęli na wyspę na jeziorze Gopło. Tam skryli się w wysokiej wieży, zaryglowali wrota i myśląc że są bezpieczni, wyjrżeli przez okno. Ze zgrozą dostrzegli, że pierwsze myszy były już na wyspie, a reszta zbliżała się do jej brzegu. Po krótkim czasie gryzonie oblegały już wieżę. Niektóre zaczęły wspinać się po jej ścianach, inne drobnymi ząbkami przegryzały drzwi. Gdy fala tych małych oprawców wlała się do wnętrza, dla władcy i jego żony nie było już ratunku. Myszy w mgnieniu oka zjadły Popiela i Gerdę.

Od tej pory w wieży zaległa cisza. Jedynym dźwiękiem, który ją zakłócał był brzęk królewskiej korony, toczącej się po schodach.

Przyszła zima, która otuliła Kruszwicę białym płaszczem. Poddanych zaczęło zastanawiać, co się dzieje z królem. Już od dawna nikt z zamku nie wychodził, nie wyjeżdżali końmi, a z komina nie unosił się dym. Gdy w końcu pewien młody kmieć odważył się pójść na zwiady, przyniósł radosną wieść:

– Król nie żyje, a w wieży tylko myszy grasują! Patrzcie co zostało po Popielu! – wykrzyknął i pokazał koronę.

Lud po wielu latach okrucieństw, odetchnął z ulgą, a o ich udrękach przypomina do dziś uderzające nocą o brzeg jezioro. ♦



JAK KRÓL WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO MOGILNU PRAWA MIEJSKIE NADAŁ

Mijał już dwunasty rok, odkąd Władysław Jagiełło zasiadł na polskim tronie. Poślubiając w 1386 roku, młodszą od siebie o niemal 20 lat, urodziwą Jadwigę Andegawenkę, koronowany został na króla Polski, którą połączył unią ze swoją ojczyzną – Litwą.

Jagiełło znany był z tego, że często podróżował po rozległym terytorium, nad którym rozciągało się jego panowanie. Była właśnie wiosna roku Pańskiego 1398. Nieliczny orszak królewski zbliżał się do Mogilna, którego właścicielami byli benedyktyni. Zakon ten, założony w VI wieku na Wzgórzu Monte Cassino, sprowadzony został do Polski w I połowie XI wieku. Pracowici mnisi wznosili kościoły i klasztory, a w skryptoriach przepisywali starannie grube księgi, bowiem druk nie był jeszcze znany. *Ora et labora* (módl się i pracuj) – tak brzmiała benedyktyńska dewiza. Jagiełło lubił rozmawiać z mnichami, bo byli to



ludzie światli, serdeczni i gościnni. Cieszył się więc monarcha, widząc z daleka solidne mury mogileńskiego opactwa. Okoliczny lud, widząc monarszy orszak, przerywał pracę, by głębokim ukłonem powitać dostojnego gościa. Mnisi wiedzieli o przyjeździe władcy, stoły były więc suto jadłem zastawione, a w dzbanach połyskiwał złocisty miód (nie był jeszcze wówczas znany likier, zwany Benedyktynką, z produkcji którego zasłyną mnisi w XVI wieku).

Szeroko otworzył ramiona mogileński opat, widząc rozradowane oblicze polskiego władcy. I zaraz wszyscy zasiedli do stołu. Jagiełło jadł z ogromnym apetytem, co gospodarzy wielce cieszyło. Zrazu mówiono mało, lecz w miarę zaspakajania głodu, rozwijała się interesująca rozmowa. Opat dobrze był zorientowany w sprawach politycznych, dlatego monarsze opowieści niezwykle go ciekawiły.

– Ale, ale... – w pewnej chwili stropiony opat klepnął się dość mocno w łusą głowę. – Zrobiło się bardzo późno, a wasza królewska mość na pewno łaknie odpoczynku, leże już przygotowane!

Król nie oponował, bo rzeczywiście odczuwał już zmęczenie i pożegnawszy pozostałych biesiadników, odprowadzony do jednej z izb przez mnicha o imieniu Celestyn, udał się na spoczynek. Król, pochodzący z kraju, gdzie klimat był chłodniejszy niż w Polsce, zawsze, nawet zimą, spał przy otwartym oknie. A teraz była cudna, ciepła noc majowa. Stał w oknie i z lubością wsłuchiwał się w śpiew słowików. To była jedna z jego największych przyjemności. Zamknął oczy. Te słowicze wariacje i trele „gig, gig”, „cik-cik”... Czy może być na świecie coś doskonalszego? Nagle wszystko ucichło. „Słowiki poszły spać” – pomyślał król i idąc za ich przykładem, osunął się na legowisko, by już po chwili głośno chrapać.

Nazajutrz, gdy poranny posiłek pojawił się na stole, opat z coraz większą niecierpliwością czekał na monarchę. Niepokoił się też nieliczni rycerze Władysława.

– Król przecież wstaje bardzo wcześnie – mówił jeden z nich.

Zdecydowano się wreszcie zajrzeć do królewskiej izby. Uczynił to Jędrzej, monarszy ulubieniec. Nagle okrzyk pełen przerażenia uderzył w mury klasztoru. – Króla nie ma!!! – rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania.

– Może gdzieś w okolicy słucha słowików? – pytano z nadzieją w głosie.

– Może jest nad jeziorem?

– Może... może...

Ale władcy nigdzie nie było. Opat zwołał naradę z udziałem rycerstwa i zakonników.

– Nie mam wątpliwości, że monarchę porwano! – oznajmił.

– Jak to? – z kilkudziesięciu gardeł rozległ się krzyk przerażenia. – Kto ośmieliłby się podnieść rękę na Najwyższy Majestat?

– Słuchajcie – mnich z trudem powstrzymał wzburzonych. – Obok opactwa przebiega kupiecki trakt. Grasują na nim zbójckie bandy i przypuszczam, że któraś z nich, dla okupu, porwała naszego monarchę!

Z wszystkich lamentujących głosów wybijał się jeden – Jędrzeja, królewskiego ulubieńca.

– To moja wina! – potężnym ciałem rycerza wstrząsało niepohamowane łkanie. – Nie powinienem naszego władcy spuszczać z oka, a w nocy jak pies czuwać przy nim.

Opat szybko uciszył wszystkich.

– Nie wolno załamywać rąk. Tu trzeba działać! Należy powiadomić o zdarzeniu okoliczną ludność i za wszelką cenę odbić władcę z rąk napastników. A tych przykładnie ukarać!

Tak też uczyniono. Poszukujący monarchy ludzie zrobili wielki pierścień, który się coraz bardziej kurczył. Ci, którzy z niego wychodzili, tworzyli nowy, zewnętrzny, gdyby zbójcom udało się wymknąć z tego pierwszego. Jędrzej, który, oprócz niebywałej siły miał też sokoli wzrok, zawołał: – Widzę grupę ludzi!

I już biegł w tamtą stronę, a za nim jego przyjaciele – Kacper i Bolko. Zbójcy słyszeli jego głos i ustawili się w pozycji do walki. Ale gdzie im było do zaprawionych w prawdziwych bojach rycerzy! Zbójckie bandy napadały

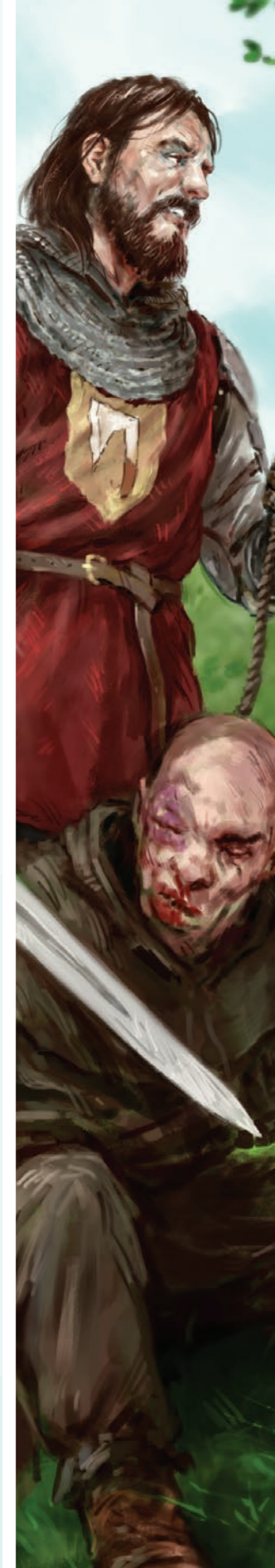
najczęściej na bezbronnych, a walka z prawdziwym rycerstwem była im obca.

– Gdzie król? – wrzasnął Jędrzej i zdawało się, że z jego oczu lecą iskry.

– Tutaj – z drugiej strony grubego dębu rozległ się znajomy głos.

– Zaraz po ciebie przyjdziemy, najjaśniejszy panie. Najpierw jednak potańczymy sobie z tymi łapserdakami.

Ale taniec nie trwał długo. Pokonani, związani złoczyńcy wtrąceni zostali do głębokich, klasztornych lochów. Uwolniony monarcha z wdzięcznością patrzył na tych wszystkich ludzi, którzy z narażeniem własnego życia uczestniczyli w poszukiwaniach władcy. A dając dowód swej wdzięczności, 17 maja 1398 roku, nadał Mogilnu prawa miejskie. Do dziś w herbie miasta na błękitnym tle, widnieją trzy złote krzyże, które przypominają, o jego dawnych właścicielach – nie tylko mądrych, nie tylko pracowitych, ale i odważnych benedyktynach. ♦





MROCZA

SKĄD SIĘ WZIĘŁA OWCA W HERBIE MROCZY?

Działo się to w początkach lat 90. XIV wieku, kiedy na tronie polskim zasiadał wielki książę litewski Władysław Jagiełło. W 1386 roku poślubił on Jadwigę Andegawenkę i takim sposobem został władcą Królestwa Polskiego.

Wielkim utrapieniem dla Polski i Litwy byli w tamtych czasach Krzyżacy. Kolejna wojna z zakonem „wisiała na włosku”. Rycerz Arnold z Wałdowa otrzymał niezwykle ważne zadanie do wykonania: miał dotrzeć do Krakowa i przekazać królowi list, który miał rozstrzygnąć, czy będzie wojna czy pokój.

Świadomy swojej wielkiej misji gnał Arnold na rączym rumaku leśnymi ścieżkami rozumując, że tu może się czuć w miarę bezpiecznie. Przecież Krzyżacy po całym państwie mieli rozsianych swoich szpiegów, a las dawał jednak pewną gwarancję, że tu ich macki nie sięgną.

Zbliżał się do Nakła, gdzie chciał zmienić zziąjanego konia na innego. Musiał jeszcze tylko przebyć ten niezbyt rozległy las. Lecz co to? Coś zielonego podskoczyło w górę. Przerażony koń stanął dęba, a zaskoczony jeździec



zwalił się na ziemię. Po chwili zobaczył tylko zad zwierzęcia i oddalający się tętent końskich kopyt. Arnold rozejrzał się dookoła i ujrzał siedzącą na kępce mchu... żabę. I wtedy pojął, co się stało.

– To ty! – jego głos wyrażał straszliwy gniew. – Nie daruję ci tego i zaraz zrobię z ciebie...

Miał wrażenie, że paskudny płaz patrzy na niego szyderczo wytrzeszczonymi oczami. Rzucił się więc ku niemu, ale stworzenie błyskawicznie skoczyło na inną kępkę... Powtórzyło się to kilka razy, gdy nagle Arnold poczuł, że ziemia rozstępuje się, a on już po chwili tkwił po pas w trzęsawisku.

– List... – jęknął zrozpaczony. – Zawiodłem!

Minęło kilka godzin. Zapadł zmrok, a Arnold tkwił w błotnistej pułapce. W pewnej chwili ujrzał zbliżające się do niego jakieś zwierzę z błyszczącymi ślepiami. – Wilki – poruszył bezgłośnie wargami. – Zaraz dostarczę im powodu do uczyty.

Jednak zamiast spodziewanego wilczego wycia usłyszał... beczenie! Czy to możliwe? Toż to owca! Skąd ona się wzięła? Po kilku chwilach dobiegły do niego z oddali ludzkie głosy, a potem wyraźne słowa:

– Gdzie ta Cudka się podziała? – pytający był wyraźnie zatroskany. – Co za utrapienie z tą owcą!

– Bywaj! – krzyknął Arnold.

Dwaj mężczyźni zbliżyli się do niego, ale jeszcze go nie widzieli.

– Nie podchodźcie zbyt blisko, bo spotka was ten sam los, co mnie.

Tkwię w grzęzawisku, a wasza owieczka umościła sobie posłanie tam... Zaraz wam pokażę, tylko podajcie mi jakąś gałąź!

Teraz wszystko poszło gładko. Oblepiony ziemią rycerz Arnold stał między mężczyznami, wskazując legowisko Cudki.

– Całe szczęście, że ją odnaleźliśmy, jesteśmy pasterzami. Mam na imię Maciej, a mój przyjaciel Mikołaj. Zajmujemy się wypasem owiec, należących do wszystkich mieszkańców naszej wsi. Jest ich 200, ale tylko ta jedna jest niesforna.

– A jak się nazywa ta wieś? – zapytał Arnold.

– Mrocza – Maciej i Mikołaj odpowiedzieli jednocześnie, a ten pierwszy mówił dalej. – Ale ty rycerzu, pewnie jesteś zmęczony i głodny, zapraszamy cię w nasze skromne progi. Przy wieczerzy opowiemy ci jeszcze o „wyczynach” naszej ulubienicy.

Z wielkim zaciekawieniem słuchał Arnold opowieści o niezwyklej owieczce.

– Zdarza się – opowiadał Mikołaj – że we wsi pojawi się jakiś wędrowiec, a już nasza Cudka z całą sforą psów biegnie za przerażonym człekiem. Do ujadania zdążył nieproszony gość przywyknąć, ale do „obekiwania” raczej nie. Kiedyś oskubała ogon konia naszego sołtysa tak, że został mu tylko śmieszny ogoneczek. Innym razem wsadziła łeb do komina i wyciągnąć go stamtąd nie mogła. A jak się tam dostała? Bóg raczy wiedzieć. Śmiał się serdecznie Arnold, słuchając tych historii.

– To ci dopiero Cudka! A jeszcze nie zapominajcie, od dzisiaj dodać do swoich opowieści i tej o uratowaniu życia pewnemu – tu palcem wskazał na siebie – rycerzowi!

Arnold spał wybornie. Gdy się obudził, czekał już na niego koń przyprowadzony przez Macieja od sołtysa. Rycerz podziękowawszy serdecznie za gościnę, pomknął do Krakowa. Tym razem nie miał już żadnych przygód i szybko wrócił do stolicy.

Ten niezwykle ważny list dotarł do króla Jagiełły, który wyraził w obecności rycerza swoje zadowolenie.

– Spisałeś się znakomicie. Chciałbym cię za to wynagrodzić. Może masz jakieś życzenie?

– Tak, najjaśniejszy panie – wypowiedział te słowa zdecydowanie, patrząc śmiało w dobre oczy króla. – Ofiaruj mi wieś Mrocza i uczyni z niej miasto.

– Chętnie to zrobię – odrzekł monarcha. – Ale chyba wiesz, że każde miasto musi mieć swój herb?

– Oczywiście. I nawet wiem, jak powinien wyglądać.



Król podniósł do góry brwi, wyrażając tym zdziwienie.

– Jak?

– Należy w nim umieścić wizerunek owcy.

– Owcy? Dlaczego?

– Bo pewna psotna owieczka uratowała mi życie, a tym samym ów list, który ci dostarczyłem, panie. Dlatego, doceniając jej zasługi, chciałbym ją uwiecznić!

Tak też się stało. W 1393 roku Mrocza uzyskała prawa miejskie, a w jej herbie, na niebieskim tle, umieszczona została sympatyczna owieczka. ♦



NAKŁO NAD NOTECIĄ

JAK NAKIELSKI KUCHARCZYK KRZYŻAKÓW SPOD ZAMKU PRZEPĘDZIŁ

Działo się to w czasach, gdy nakielskim kasztelanem był dobry pan imieniem Włodko. Szanowano go powszechnie. Poddanych nie uciskał, a sprawiedliwość – zgodnie z prawem – wymierzał, nie patrząc na to, czy ktoś z patrycjatu, czy z plebsu się wywodzi.

Jedyna córka kasztelana, Agnieszka, przygotowywała się do zamążpójścia. Wszyscy nakielanie mieli ręce pełne roboty, na wesele sproszono bowiem licznych gości, niektórych z odległych rejonów Polski. Kasztelan osobiście wszystkiego doglądał, bo chciał, by ślub jego jedynaczki zachwyił swą okazałością i by mówiono o nim przez długie, długie lata.

Włodko wciąż wymyślał jakieś konkursy: dla szewców na najpiękniejsze trzewiki dla panny młodej, dla piwowarów na najsmaczniejsze piwo, dla konwisarzy na odlanie najwymyślniejszego talerza lub kubka, a dla kucharzy na najsmaczniejsze, ale przy tym najoryginalniejsze danie. Każdy zwycięzca otrzymać miał złoty pierścień. W zamkowej kuchni rwetes panował niebywały. Kucharze prześcigali się w pomysłach. Jedni zdradzali je głośno, inni zatajali w obawie, że kolega podkradnie mu jego myśl.



Do konkursu postanowił też stanąć młody kucharezyk – Wawrzonek. Marzył on o tym, aby pojechać do Gniezna, poznać tam dogłębnie arkaną sztuki kulinarnej, a potem zbudować własną karczmę. Piękne marzenia, jednak aby je zrealizować konieczne są pieniądze. „Muszę zdobyć ten pierścień!” – myślał gorączkowo, a zaraz potem zrodziło się w jego głowie jeszcze inne postanowienie: „Jeśli zbuduję karczmę, to przyrzekam, że w każdą Wigilię będę w niej gościł ubogich ludzi”. Niestety brakowało mu pomysłu na wyjątkową potrawę. Na zamek wciąż przybywali zaproszeni na wesele goście, harmider panował więc tu niebywały. – Jak ja mam w tych warunkach tworzyć? – jęczał kucharezyk i wydawać się mogło, że jest on jakimś poetą, przeżywającym męki twórcze.

Pewnego wieczoru, a było to na dwa dni przed weselem, korzystając z ogólnego zamętu, wymknął się z zamku i pobiegł nad Noteć. Siadł w wysokich trawach i wpatrując się w bezgwiezdne niebo, szukał natchnienia. Modlił się do swojego patrona św. Wawrzyńca, a uznając, że w kwestii zbudowania gospody, był za mało hojny dla ubogich, szepnął: – I na śniadania wielkanocne też będę ich zapraszać!

Nie nie pomogło. Coraz bardziej doskwierał mu chłód. Zniechęcony postanowił wracać na zamek i już, już chciał podnieść się z ziemi, gdy nagle usłyszał dobiegające z zarośli szepty. Zdumiony podczołgał się w stronę noteckiego brzegu, rozchylił nieco trawy i ujrzał dwóch zakapturzonych mężczyzn. Rozmawiali po niemiecku, ale Wawrzonek dobrze znał ten język i rozumiał każde słowo.

– To znakomita okazja, by napaść na zamek – mówił jeden. Wawrzonek nie miał żadnych wątpliwości: to Krzyżacy! – poruszył tylko wargami, by nie spłoszyć rozmawiających i dowiedzieć się, co knują.

– Oni będą zajmować się weselem – kontynuował Krzyżak. – I z pewnością ich czujność będzie stepiona.

– Świetnie! – drugi Krzyżak zatarł ręce z zadowolenia. – Niech tylko nasi nie spaprają roboty przez przedwczesny hałas!

Wawrzonek już wiedział, co zamierzają odwieczni wrogowie Polski. Bezszelestnie wycofał się ze swojej kryjówki i pognął na zamek.

– Puście mnie do kasztelana! – wołał do strażnika, stojącego przy wejściu do jego komnaty.

– Cisza! – tamten ostro zareagował. – Nasz pan już śpi! Jutro wyjeżdża w stronę Poznania po ostatnich weselników.

– Ja muszę widzieć się z nim! – rozgorączkowany Wawrzonek skierował się w stronę drzwi, ale zatrzymała go żelazna ręka i groźny syk: – Nie waż się...

Nazajutrz, w związku z nieobecnością na zamku kasztelana, Wawrzonek udał się do Jędrzeja, dowódcy zamkowej straży. Ten wysłuchał go cierpliwie, ale jego słowom nie dał wiary.

– To niemożliwe! – podsumował relację kucharczyka. – A wiesz dlaczego? Primo: nasz król zawarł niedawno z Krzyżakami pokój. Secundo: oni nie ośmieliliby się zaatakować zamku wiedząc, że przebywa w nim tylu znakomitych rycerzy!

Wawrzonek zrozumiał wówczas, że obrona zamku przed wrogami spoczęła na nim. Droga na zamek wiodła przez bramę, umieszczoną w warownej wieży. Na jej strych zaniósł Wawrzonek garnki, patelnie, metalowe kubki i talerze. Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo przecież całe życie zamku kręciło się wokół tego najważniejszego wydarzenia – ślubu i wesela. Szewcy znosili piękne buciki, piwowarzy uwarzyli beczki znakomitego piwa, konwisarze wykonywali kubeczki, kubki, kubasy najrozmaitszych kształtów. A kucharze? Dopieszczali jeszcze przygotowane przez siebie wykwintne potrawy, zerkając ukradkiem na półmiski konkurentów. A Wawrzonek dalej nosił na strych swoją „broń” i powtarzał skierowane pod adresem spodziewanych napastników słowa. – Nie chcieliście robić hałasu, to ja wam go urządzę!

Zapadła ostatnia noc przed weselem. Wawrzonek patrzył przez małe okienko swej wieżyczki i czekał... Nagle ujrzał wyłaniające się zza drzew

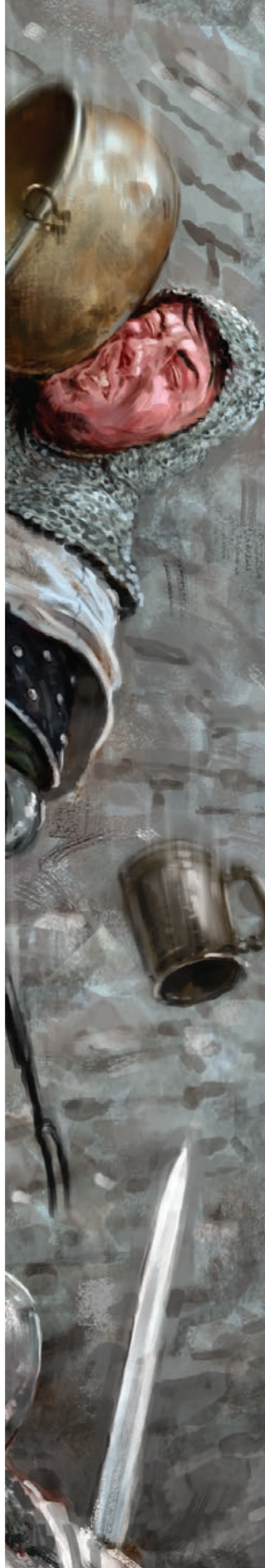
sylwetki. Nie było wątpliwości – Krzyżacy. Zaczęli oni przystawiać drabiny do murów i wspinać się po ich szczeblach. Wtedy spadł na nich wielki grad – nie kul, ale garnków, patelni i innych hałaśliwych przedmiotów. Rwetes zrobił się wielki, a zbudzeni rycerze stanęli do walki z zaskoczonymi takim obrotem sprawy napastnikami. Krótka bitwa zakończyła się zwycięstwem obrońców.

Gdy nazajutrz kasztelan powrócił na zamek, przywożąc ostatnich gości weselnych, dowódca straży zamkowej Jędrzej, opowiedział mu o wypadkach minionej nocy. Włódko sięgnął wówczas do swej szkatuły i wyjąwszy z niej najokazalszy pierścień oznajmił:

– Nie martwcie się kucharze, szewcy i inni rzemieślnicy, biorący udział w ogłaszanych konkursach. Ich zwycięzcy zostaną przeze mnie sownie wynagrodzeni. Jednakże kucharczyk Wawrzonek okazał się bezkonkurencyjny, bo jego pomysł uratował zamek i nas wszystkich.

Od tego czasu upowszechnił się zwyczaj, że w przeddzień ślubu pannie młodej, na progu jej domu, tłucze się garnki – na szczęście, by przepędzić wszelkie zło.

A co się stało z Wawrzonkiem? Spełniły się jego marzenia. Został mistrzem kucharskim, zbudował karczmę, w której każdego roku, w Wigilię i na Wielkanoc, podejmował, przygotowanymi przez siebie potrawami, najuboższych ludzi. ♦





NOWA WIEŚ WIELKA

O PECHOWEJ MONECIE ZE STRYSZKA

W całej Nowej Wsi Wielkiej ani w okolicy nie było dwóch takich przyjaciół jak Piotr Pietruszka i Paweł Marchewka. A znali się oni od urodzenia. Tak, tak, bo gdy Leon Pietruszka po raz pierwszy usłyszał wrzask swojego pierworodnego, w tym samym czasie jego sąsiad zza miedzy Kaziu Marchewka ujrzał w ramionach starej akuszerki Antonowej, tak upragnionego od lat, syna Pawła.

Piotr i Paweł byli jak bracia: razem się bawili, razem uczyli i w każdej potrzebie wzajemnie wspierali. W ciągu trzech lat zmarli rodzice obu przyjaciół, a oni pozostali na ojcowiznie, biorąc sobie za żony dwie siostry Broni-rzówny. Ich synowie – Kosma i Damian – to toczka w toczkę Piotr i Paweł, bo też wszystko robili razem.

W połowie każdego tygodnia Piotr i Paweł jeździli furmanką do Bydgoszczy, aby na tutejszym targu sprzedać zboże, marchew, pietruszkę, cebulę i czerwone, pachnące jabłka. Od dwóch lat wyprawy te sprawiały im szczególną przyjemność, a to z tego powodu, że w 1700 roku, mniej więcej w połowie drogi do celu podróży, zbudowano karcznię Stryszek ze znakomitym jadem i wybornym piwem.



Był piękny, sierpniowy dzień i gdy Piotr ujrzawszy z daleka ten przybytek rozkoszy dla podniebienia, zawołał radośnie:

– Właśnie na to czekałem! Powiadam ci Pawełku, że takiej gąski w miodzie, jaką podają tu w Stryszku, nawet moja śp. babka Lonia nie robiła, a przecież z przyrządzenia gęsiny na całą okolicę słynęła! Zrezygnuj ty wreszcie z tej swojej kaczuszki w sosie śliwkowym, bo gdy chociaż raz delikatne mięsko gąski muśnie twoje podniebienie, zaraz zwątpisz, czy jesteś jeszcze na ziemi, czy może masz w gębie jakiś boski pokarm, ambrozię...

– Prrr! – to była jedyna odpowiedź Pawła na perorę przyjaciela, a chwilę potem dziarsko zeskoczył on z kozła.

Tymczasem Piotr Pietruszka, wciąż podekscytowany swoją kwiecistą mową na temat wyższości walorów smakowych gęsi nad kaczką, powoli gramolił się z wozu. Zauważył wówczas, że Paweł podniósłszy coś z ziemi, intensywnie się temu przygląda.

– A co tam masz? – zagadnął zaciekawiony i zerkając zza ramienia przyjaciela, ujrzał leżący na jego dłoni, nieduży, okrągły przedmiot.

– Ta stara moneta – wyjaśnił po chwili namysłu Paweł – to tynf... Widzisz te litery ICR? Ioannes Casimirus Rex. Te bezwartościowe pieniądze wybijano za Jana Kazimierza w czasie wojny ze Szwedami. Teraz te bezbożniki, razem z Rosjanami i Sasami, znowu grasują po naszym kraju. Wyrzucimy to paskudztwo bo pecha nam jeszcze przyniesie...

– Chwileczkę – Piotr energicznie wstrzymał szykującą się do wymachu rękę Pawła. – Ja w takie bajki o pechu nie wierzę. Zostawię sobie ten pieniążek na szczęście. Pamiętaj: kto nie szanuje małego, nie będzie miał dużego.

Zaraz po tych słowach blaszany miedziak spoczął w solidnej, skórzanej sakiewce Piotra Pietruszki. Była ona zaopatrzona w rzemyk i spoczywała na piersi właściciela, który tym sposobem chronił ją przed złodziejami. Po wymienitym popasie z gęsią w miodzie w roli głównej i kaczką w sosie śliwkowym, przyjaciele ruszyli w dalszą drogę.

A w grodzie nad Brdą powitał ich – jak to zwykle bywało w dzień targowy – nieopisany gwar. Piotr i Paweł szybko sprzedali wszystko co mieli na wozie, a posiadacz tynfa – dopełniając swój okazały miasek – zawołał z radością:

– Spójrz Pawełku! Grosz do grosza, a będzie kokosza!

– Oby tylko nie okazało się, że ten znaleziony tynf jest tyle wart, co kiepski żart – Paweł zaśmiał się ze swego dowcipu, ale Piotr już go nie słyszał, bo stanąwszy przy kramie z damskimi fatałaszczkami, gorączkowo zaczął je oglądać.

– A teraz kupimy coś naszym kochanym żonkom! Ooo, tan serdaczek z cekinami będzie w sam raz dla mojej Agaty. I jeszcze te trzy wstążki...nie, cztery, bo ta niebieska pasuje najbardziej do jej modrych oczu. A te korale... Paweł, spójrz jakie cudne. Też kupię, w końcu mnie na to stać – wyszeptał chępliwie i sięgnął po swój skórzany woreczek.

Nagle strasznie pobladł i szarpnął za rzemyk, na końcu którego dyndała chudziutka, bo pusta sakiewka. Paweł przyglądał się jej w osłupieniu, a po chwili przeraźliwie wrzasnął:

– Na rany Chrystusa! Paweł, widzisz to samo co ja?

– Człowieku, bierzesz ten towar czy nie? – głos przekupki był wyraźnie zniecierpliwiony. – Ludzie chcą kupować, a ty sterczysz jak kołek w płocie.

Paweł ujął nieprzytomnego z rozpaczy przyjaciela za ramię i wyprowadził z targowiska. Stanęli pod rozłożystą wierzbą, która zdawała się płakać nad piotrową niedolą. A nieszczęśnik ten, targając swoją płową czuprynę, powtarzał:

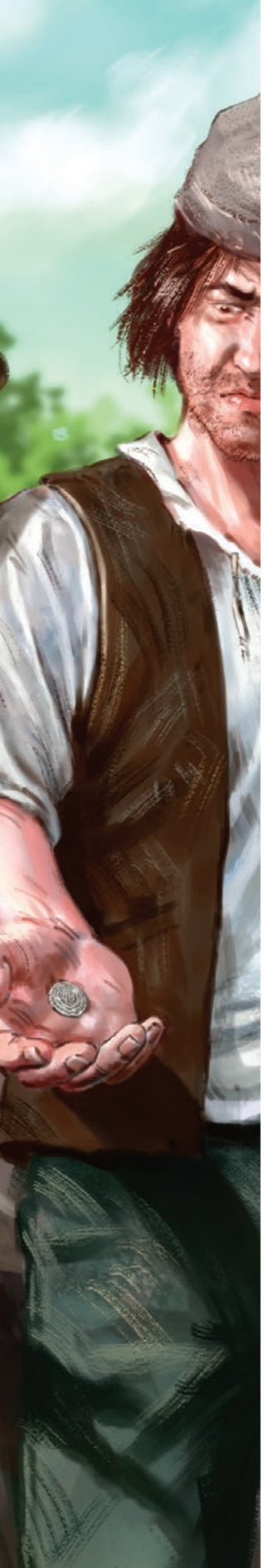
– Przekłeta moneta! Przekłeta moneta!

Paweł zrazu łagodnymi słowami starał się uspokoić przyjaciela. Nie widząc jednak żadnych efektów tych zabiegów, zmienił taktykę. Tubalnym głosem, którego istnienia sam w sobie nie podejrzewał, przeraźliwie wrzasnął:

– A gdyby mnie konie stratowały?

Zdumiony tym pytaniem Piotr rzeczywiście umilkł, po czym marszcząc czoło wyjąkał:

– O czym ty mówisz? Co ma piernik do wiatraka?



– A właśnie, że ma! – zapewnił Paweł. – Bo ja się pytam, czy bardziej żałujesz straty tych pieniędzy, czy bardziej pożałowałbyś straty przyjaciela?

– Ależ Pawełku, przecież bez ciebie pozostałaby ze mnie tylko połowa – zapewnił Piotr.

– I ja tak myślę o tobie. Odłóż więc ten swój lament na gorsze okoliczności. A teraz cieszymy się naszym szczęściem. Konie nas nie stratowały, mamy wspaniałe rodziny i zdrowie. I dodam jeszcze coś: „Nie zasypia w nocy śmieie, kto ma pieniędzy wiele”.

Piotr Pietruszka i Paweł marchewka roześmiali się serdecznie i ruszyli w stronę wozu. Jeszcze daleko rozbrzmiewał donośny głos Piotra:

– Ale Pawełku, powiadam ci, że ta gąska w miodzie ze Stryzka to istny cymes... ♦



SEPOLNO KRAJENSKIE

JAK KAZIMIERZ WIELKI SEPOLNU PRAWA MIEJSKIE NADAŁ

Działo się to w XIV wieku, kiedy Królestwem Polskim władał Kazimierz Wielki. Wprawdzie przydomek ten otrzymał jeszcze za życia ojca Władysława Łokietka, mierzącego zaledwie 150 cm wzrostu, ale zasługi ostatniego Piasta były naprawdę wielkie. Nazywano go „królem chłopów”, a i mieszczenie mieli powody do zadowolenia. Wiele osad otrzymało prawa miejskie, co wiązało się z licznymi przywilejami. Polska była krajem „miodem i mlekiem płynącym”.

Nic więc dziwnego, że właściciel Sępólna – Hektor Ostroróg z Pakości – podjął próbę uzyskania dla osady praw miejskich. Rozumiał, że przyciągnie to kupców z najodleglejszych zakątków, a i rodzime mieszczaństwo korzystać będzie z różnych przywilejów. Oczami wyobraźni widział tętniące życiem miasto, które jemu przynosić będzie znaczne zyski. Przystąpił więc ochoczo do realizacji swego planu. Wysłał w tej sprawie do króla kilka listów. Wiedział jednak, że w ślad za epistołami musi podążyć do miasta stołecznego Krakowa ktoś, kto osobiście dotrze do monarchy i sprawdzi, co się w tej sprawie dzieje.



Zwołał więc naradę z udziałem najznamienitszego rycerstwa i przedstawił na niej swoje zamiary.

– Chcę – słowo to wypowiedział ze szczególnym naciskiem. – Aby do stolicy pojechali: Strachota, Zdieszko z Sępólna i Roch z Wałdowa. Dam wam głąt do miłościwego pana, dzięki któremu szybko do niego dotrzecie. Dostaniecie też sześciu pachółków jako eskortę. Wprawdzie pod rządami naszego dobrego gospodarza zmniejszyła się liczba rozbojów, jednak, powiedzmy sobie szczerze, bandytów na świecie nigdy nie zabraknie. Co jeszcze... – Hektor mierzwił swoją bujną czuprynę. – Acha, musicie mieć konie na wymianę, no i oczywiście pieniądze. To wszystko. W drogę! Niech was Bóg prowadzi.

Nazajutrz, pięknym, lipcowym świtem wyruszyli trzej rycerze na południe. Postanowili przebrać się za mnichów, uznając, że to zapewni im bezpieczeństwo. Nie dojechali jeszcze do Pakości, a tu z lasu wyskoczyła banda zbójców. Otoczyli oni podróżników, wrzeszcząc przeraźliwie:

– Dajcie wszystko, co macie!

Roch już chciał chwycić za skrywaną pod habitem szablę, ale przypomniał sobie, że przecież udaje mnicha. Postanowił więc zacząć inaczej:

– A nie wstyd wam tak uderzać na synów bożych? Ja każdemu z was radzę: *memento mori* (pamiętaj o śmierci). Staniecie kiedyś przed...

Nie skończył jednak, gdyż bezceremonialnie jego podniosłą mowę przerwał jeden z rzezimieszków:

– Baj-u-baju, będziem w raju! – po tych słowach cała banda zarechotała, powtarzając. – Baj-u-baju, będziem w raju.

Sprawca tej powszechnej wesołości mówił dalej: – Nie przedstawiłem się jeszcze Waszmościom. Jestem Honza, herszt tej ucieśnej kompanijki. A mówię „waszmościom”, bo na malutki niuch mojego długiego nosa (a nochal miał rzeczywiście okazały), czuję, że pod tymi sukmanami szabelka się kryje, czyż nie? – mrugnął lewym okiem i gwizdnął słowiczo. – No dobrze, przejdźmy do rzeczy: życie wam darujemy, za co

oczekujemy dozągonnej wdzięczności. Zabieramy tylko konie – trzy wam jednak zostawimy – oraz kosztowności i pieniądze.

Po tych słowach zwrócił się do zgrai: – Do dzieła!

Minęło zaledwie kilka chwil, gdy na drodze zostali rycerze, pachołkowie i trzy konie.

– Wracajmy do Sępólna – Strachota z rezygnacją machał ręką, wskazując nią kierunek powrotny.

– Strachota, nie strachaj się – Roch bezskutecznie próbował go rozśmieszyć. – Odeślemy tylko pachołków do osady, mają niedaleko. A my musimy dotrzeć do Krakowa. Nie możemy zawieść Hektora Ostroroga i mieszkańców Sępólna. Oni oczekują na dobre nowiny. Co o tym myślisz, Zdieszko?

Zdieszko, choć małowówny cieszył się wśród rycerstwa dużym poważaniem.

– Masz rację, Rochu – rzekł. – To jest sprawa naszego honoru. Podjęliśmy się wykonać zadanie i mimo przeciwności losu, dokonamy tego.

Strachota był wyraźnie zawstydzony. – Macie rację – przyznał.

Ruszyli więc w dalszą drogę. Nie była ona łatwa. Konie musiały stawać na popasie, ale ludzie odnosili się do podróżujących raczej życzliwie. Tylko raz jakiś gospodarz poszczuł ich psami, gdy poprosili o coś do zjedzenia. Nie mieli pieniędzy, nie mogli więc spać w przydrożnych zajazdach, ani posilać się wyszukаныmi potrawami. Jedli chleb, popijając mlekiem, czasami ktoś zaprosił ich do chaty na groch, fasolę czy bób. Ofiarowywano im też owoce: soczyste gruszki, czerwone jabłuszka lub dojrzewające właśnie śliwki. Spali najczęściej w stodole na sianie. Aż któregoś dnia ujrzeli wreszcie mury Krakowa.

– No, dobiega kresu nasza mordęga – westchnął z ulgą Strachota.

– A ja bym tego tak nie nazwał – zaproponował Roch. – Ta podróż była dla nas ciekawym doświadczeniem. To, że my, rycerze, jesteśmy gościnni, powszechnie wiadomo. Ale, że ten spracowany ludek ma w sobie tyle serdeczności i życzliwości, to cieszy i duszę mą raduje. A co ty, Zdieszko, o tym myślisz?

– Polacy to wspaniali ludzie i mają przed sobą wielką przyszłość – stwierdził rycerz-mędrzec.

Kiedy cała trójka dotarła wreszcie do królewskiego sekretarza, ten oświadczył:

– Musicie dać mi głejt od waszego pana!

– Nie mamy, bo zostaliśmy napadnięci – Strachota przeczuwając komplikacje, był bardzo zniecierpliwiony.

– W takim razie – spokojny głos sekretarza również Rocha denerwował.

– Musicie czekać do dnia, gdy król spotka się z ludem!

– Czyli, ile dni?

– Około 14.

– Co? – Strachota już nie panował i chwycił za rękojeść swej szabli.

W tym momencie stanął przed nimi jakiś zamkowy pachołek.

– Miłościwy pan, król Kazimierz prosi Waszmościów do siebie.

Oszołomieni tą niespodziewaną wiadomością, podążyli za chłopakiem.

A gdy zjawili się przed królewskim obliczem, każdy z nich pomyślał: „Mam jakieś majaki, to nie może być rzeczywistość! Bo oto przy monarsze stał roześmiany od ucha do ucha... Honza, herszt zbójcekiej bandy!”

Król widząc ich miny, roześmiał się serdecznie: – Tak, tak, to jest Honza. Udając rzezimieszka, wykonał moje polecenie. Wiecie, takich podań o nadanie praw miejskich dostaję mnóstwo. Czasami zastanawiam się czy to taka moda, czy właściciele osad chcą polepszyć los ich mieszkańców? Zdarza się więc, że sprawdzam siłę tego dążenia. I wy ją pokazaliście. Realizując szlachetny cel, musimy być uparci, nie możemy się poddawać. Rycerze, zdaliście egzamin, dlatego z wielką przyjemnością nadam Sępólnu prawa miejskie.

I tak też się stało... ♦



O TYM, JAK WOJDYŁŁO DUSZĘ DIABŁU ZAPISAŁ

Wniewielkim Strzelewie, w gminie Sicienko panował zazwyczaj spokój. Gród zamieszkiwało może ze sto osób. Wiosną okoliczne pola żółciły się rzepakiem, latem mieniły kolorowym kwieciem, jesienią zaorane szykowały się na zimowe mrozy. I tak rok, w rok. Podobnie było z ludźmi – życie odmierzało się odwiecznym, powolnym rytmem natury, a oni chwalili sobie ten ład. Było tak jednak do czasu. Bowiem jak to zwykle bywa, zawsze znajdzie się jakaś zakała, która żywot ludziom zatruć potrafi.

Do Strzelewa przybył i na dworze osiadł Wojdyłło. Tajemniczy i za możny tak, że na językach ludzi stale gościł. Baby przy robocie już tylko jeden temat miały.

– Widziałaś ty Marychna to panisko? Bogaty jak królewicz! Majątek tu tejszy kupił, panem całej gminy niedługo zostanie! – gadała podniecona.

Marychna, która nigdy konwenansami się nie przejmowała, głośno prychnęła: – A widziała żem, widziała, tyle dukatów ma, że na złotych talerzach jada ponoć! Ale na czym on tak się wzbogacił, pojęcia nie mam. Ubiór ma przeciętny, a manier zdaje się, że matka go nie nauczyła wcale!

Tygodni kilka nie minęło, a spokój w Strzelewie stał się tylko wspomnieniem. Zbychowi, co na skraju wsi mieszka, trzoda poginęła. Marian, co



z urobkiem z targu wracał, w lesie zaginął. Janowi oszczędności życia, jak kamień w wodę, przepadły. Przydrożna karczma z powodu regularnych rabunków, na skraju bankructwa się znalazła. Historii podobnych bez liku pojawiać się zaczęło. Codziennie jakiś napad, rabunek, morderstwo. Nocą wokół domostw warty na zmianę pełniono. Ale i to na niewiele się zdało.

Szybko skojarzono rozboje z nowym mieszkańcem Strzelewa. A apetyt Wojdyłły na grabieże rósł coraz bardziej. Uprawiał zbójectwo i terroryzował boгу ducha winnych mieszkańców już we wszystkich okolicznych wioskach. Umiaru nie znając, zapuszczał się coraz dalej i dalej. Majątek jego rósł, posiadłość piękniała, służby coraz większą ilość zatrudniał, ale nikt długo u niego nie popracował. Wytrzymać z nim się nie dało. Jeden Janek tylko jakoś w pracy u lotra się utrzymywał.

Pewnego dnia, Wojdyłło siedział przy swoim mahoniowym stole. Zadowolony liczył pieniądze i ostrzył nóż. Widok ten sprawiał, że ciarki po plecach przejść mogą. Wierny sługa Janek czyścił mu tymczasem buty.

– Jestem z siebie baaaardzo zadowolony – rzekło wolno Wojdyłło ochryplym głosem. – W krótkim czasie dorobiłem się majątku. Wzbudzam strach i respekt. Kariera godna podziwu, nie uważasz Janku? Czegóż chcesz więcej? Jak myślisz, czego bym jeszcze mógł chcieć?

– Może żony i dzieci? – odparł Janek.

Krew w Wojdyłły zagotowała się tak, że aż wstał oburzony i zaczął krzyczeć na całe gardło: – Dzieci?! Żona?! Po co mi to?! Musiałbym wydawać na nich pieniądze. Babie kupować stroje, pachnidła i malowidła... Nie! Mnie potrzeba więcej złota i kosztowności, ale tylko dla mnie! Dla mnie! Rozumiesz?

Przestraszony sługa, widząc gniewną minę zbója, zawahał się chwilę. Zebrał się jednak na odwagę i przemówił: – Ale po co panu to wszystko? Co pan z tym zrobi? Do grobu pan tego nie zabierze.

– A tam, grób, grób! Nie kracz mi z tym grobem. Wiem, że już nie jestem młody, ale o śmierci myśleć jeszcze nie zamierzam. Biegnij szybko

i sprowadź mi tu tego diabła, który podobno wie, jak mogę się jeszcze bardziej wzbogacić. – rozkazał podniecony Wojdyłło.

– O... o... oczywiście panie – wyjąkał Janek i na dobre już przestraszony tego, co ma nastąpić, pobiegł czym prędzej do Sicienka. Znalazł w karczmie diabła i sprowadził Wojdyłły, tak jak prosił. Diabeł rzekł do Wojdyłły: – Podobno szukałeś mnie panie. Czy chcesz wrócić do naszej rozmowy sprzed lat?

Wojdyłło rozsiadł się w atłasowym fotelu, fajkę zakurzył i do tłumaczenia się zabiera: – Robię się stary. Nie chce mi się już skradać, napadać, łapać, czekać na okup. Zadyszki od tego wszystkiego dostaję, nogi mnie bolą. Teraz chce się wzbogacić, ale łatwo i szybko.

Na kosmatej gębie diabła pojawił się wymowny, szelmowski uśmiech i tak oto gadać zaczął: – Tak myślałem, tak myślałem... Składa się idealnie, bo na tę okoliczność przygotowany jestem.

Diabeł wyciągnął z torby pergamin i położył na stole.

– Siadaj i pisz panie! *Ja, Wojdyłło, właściciel dworu Strzelewo, zapisuję w tym dokumencie swoją duszę diabłu. W zamian za to otrzymam tyle złota, ile zmieści się do cholewy mojego buta. Złoto otrzymam zaraz po podpisaniu tego dokumentu, a moja dusza do piekła powędruje dopiero po mojej śmierci. Podpisano: Wojdyłło.* Podaj mi cyrograf, zaraz wrócę ze złotem.

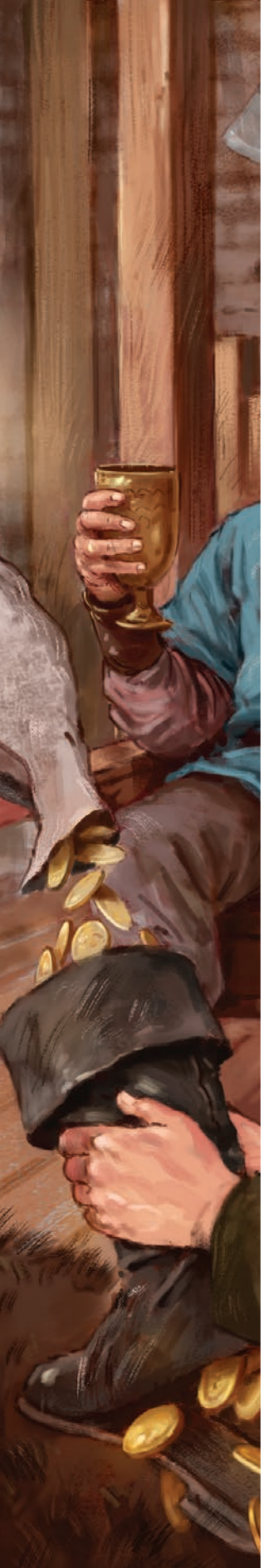
Tylko diabeł wyszedł, Wojdyłło podekscytowany własną przebiegłością woła Janka: – Janku chodź tu, szybko, szybko! Przynies mi szybko but z największą cholewą. Odetnij spód buta, ale tak, żeby nic nie odpadło.

– Panie, dobrze ci radzę, z czartem nie zadzieraj... – Janek nieśmiało próbował przekonać Wojdyłły.

– Wiem co robię. Za chwilę będę naprawdę bogaty!

Janek przyniósł but przygotowany jak pan kazał. Słyszą pukanie.

– Otwieraj, otwieraj. Przyszedł diabeł ze złotem – ponąglął zniecierpliwiony Wojdyłło.



– Nastaw but – polecił czart. – Nasypię ci złota i zakończymy ten handel. Zobaczymy się dopiero, gdy będziesz już w drodze do grobu.

– Co wy dzisiaj z tym grobem? Ja chcę jeszcze pożyć w dostatku. Syp diable! – powiedział zbój.

Diabeł sypie i sypie, a but się nie napełnia. Zdziwiony spogląda na spód buta i jak wściekły nie wrzaśnie: – O lotrze! Przejrzałem cię! Chciałeś mnie oszukać. Myślałeś, że od diabła sprytniejszy jesteś!? O nie! Okrutną poniesiesz karę!

Diabeł z wściekłością wstrząsnął ziemią. Dwór i skarby Wojdyły w jednej chwili zapadły się do wielkiego dołu. Diabeł zadbał i o to, aby do skarbów nikt dotrzeć nie mógł. Dół zalał wodą, a na dnie ułożył dywan z trujących roślin.

Do dziś po stawie w Strzelewie pływa ten kobierzec niezwykle, nazywany przez mieszkańców pływającą wyspą. A mieszkańcy Strzelewa i okolic z ulgą odechnęli. Tylko czasem, gdy północ wybija, zrywa się wiatr nad okolicznymi polami. Wzmağa się szum, słychać jakiś łopot, spływa mgła z czarnych chmur. To ponoć sam diabeł przybywa, zobaczyć jak jego kosztowności na dnie stawu się mają. ♦



STRZELNO

KAMIEŃ STRZELEŃSKI ŚWIĘTEGO WOJCIECHA

Przed romańską bazyliką św. Trójcy w Strzelnie możemy zobaczyć tajemniczy granitowy głaz, z którym związana jest pewna legenda.

Okrutnie strudzeni byli: biskup Wojciech, jego brat Radzim i ksiądz benedyktyn Bogusz, gdy na mocno sfatygowanej furmance wyjechali z rozległego lasu na pełną drogę.

– Macieju, trzeba nam znaleźć jakieś miejsce na odpoczynek – zwrócił się biskup znużonym głosem do starego woźnicy. – Musimy rozprostować wreszcie kości.

W tej chwili wzrok duchownego przykuł widok czterech okazałych głazów.

– Spójrzcie – zawołał radośnie wskazując ręką na wspaniałe okazy. – Tam odpoczniemy i co nieco przekąsimy.

Chwilę potem posłuszny siwek, usłyszawszy tubalne „prrr!” zatrzymał się.

– Wyciągnij Macieju z worka to, co nam dali ostatnio gościnni gospodarze. Podczas jazdy do moich nozdrzy docierał niezwykle kuszący zapach. Trzeba przyznać, że ludzie na tych ziemiach są bardzo serdeczni i szczodrzy. Jadła nie żałują, a i w każdej, nawet najlichszej chacie, znajdzie się legowisko dla strudzonych po podróży. Gorzej wygląda sprawa z przyjmowaniem chrześcijaństwa – stwierdził biskup.

– Tak, tak – potwierdził Radzim. – Wciąż tkwi w nich ta nieufność wobec nauk naszego Chrystusa, ale zwykle jednak słuchają tego, co im prawisz, bracie.



Prowadząc tę rozmowę otwierali worek z jedzeniem, z którego po chwili wydobyli pachnącą pieczeń i chleb. Przysiadłszy na głazach z apetytem spożywali posiłek. Biskup Wojciech, mimo odczuwanego głodu, zjadł niewiele, a gdy pozostali rozkoszowali się jeszcze smacznym mięsiwem, on położył się nieopodal i spoglądając w niebo przebiegał myślami o ostatnich latach swojego życia. Dwa lata zaledwie minęły odkąd okrutny książę czeski, Bolesław Przemysłyda, wymordował niemal cały jego ród Sławnikowiców. Obawiał się, że to on Wojciech, zagroził jego władzy. Niewielu krewniaków uszło z kraju z życiem. Wojciech znalazł się w Gnieźnie u księcia Bolesława Chrobrego. Władca Polski przyjął go serdecznie. Razem obmyślili plan podjęcia misji chrystianizacyjnej w kraju Prusów. Zrazu Wojciech zamierzał udać się na północny zachód, do pogańskich Wioletów, jednak ostatecznie uznali z Bolesławem, że wyprawa ruszy na północny wschód. Teraz właśnie realizowali ją z bratem i księdzem Boguszem, podążając przez kraj Polan do owych tajemniczych Prusów. Wśród Słowian czuli się bezpiecznie. I to nie dlatego, że książę dał im 30-osobową eskortę swoich wojów, którzy dyskretnie nad nimi czuwali, lecz z tego powodu, że tutejszy lud był spokojny i dobry. Ale jak powita ich ten nieznany, pogański lud? Bóg raczy wiedzieć! Biskup zapadł w sen, a zbudziło go jego mocne, własne chrapnięcie. Nieco speszony spojrzał na towarzyszy podróży i zawołał z wielką werwą:

– Dość już tego leniuchowania, czas ruszyć w dalszą drogę i nieść ludziom słowo Boże – rzekł biskup.

Cała czwórka zajęła miejsca na wozie. Lecz, co to? Co robi ten koń Siwek? Ruszył prosto na jeden z głazów. Stary Maciej krzyknął przerażony: – Stój!

Nie pomogło. Jedno z przednich kół furmanki uniosło się wysoko w górę, a gdy wszyscy jej pasażerowie spodziewali się fatalnego upadku... nic podobnego się nie wydarzyło. Ziemia pod kamieniem jakby rozstała się.

– To jest cud – wyszeptał stary Maciej.

Nieposłuszny przed chwilą Siwek stanął jak wryty, a kiedy cała czwórka, opuściwszy wóz, zbliżyła się do głazu, ujrzała na nim wyraźny ślad koła. Odtąd, przez ponad tysiąc lat, historia strzeleńskiego kamienia przekazywana jest z pokolenia na pokolenie. ♦



STRZELNO

O ROZBÓJNIKU DĄBKU ZE STRZELNA

– **To** pewnikiem sprawka tego piekielnika Dąbka i jego bandziorów! – krzyczał Janek Bednarz, a wokół niego gromadził się tłum, który gęstniał z minuty na minutę.

– A co się stało? – zapytał Antek Pięta.

– Nie słyszałeś o zaginięciu Maryni Białki? Podobno wczoraj rano wyszła z domu i ślad po niej zaginał. Jej ojciec od zmysłów odchodzi, a przecież za dwie niedziele mają się odbyć jej zrękowiny z Filipem Książkiem – tłumaczył Bednarz.

– A dokąd poszła? – zapytała stara Matejowa.

– Ponoć widziała ją Kachna Piekarczówna, jak zmierzała w stronę lasu – wyjaśniła Gruba Zośka, córka młynarza.

– Jakie лихо ją tam poniosło? Czy nie wiedziała, że na takie jak ona, dybie zgraja Dąbka? – Maciej zwany Siwą Brodą z niedowierzaniem kręcił głową. – Czy ona nie słyszała co spotkało piękną kasztelanke, gdy wpadła w ręce tej zbójcekiej szajki? Opowiadano o tym takie okropności, że aż strach powtórzyć! A pamiętacie co zrobiono z Sabiną Ogórek? Dąbek zatrzymał ją na drodze i przymilnym głosem poprosił o zakup na rynku



gwoździ i octu, bo on sam nie może, z powodu bólu nogi. Uczynna Sabina, oczywiście nie rozpoznawszy łotra, a mając litość w sercu, spełniła tę prośbę. Ten zbój powbił jej owe gwoździe w piętę i polał octem. Do dzisiaj biedaczka kuśtyka na jednej nodze. Całe szczęście, że ma dobrego syna, który jej pomaga.

O tym wszystkim rozprawiano na strzeleńskim rynku. Oburzenie na bezkarność Dąbka i jego kamratów było powszechne. Wyrażano obawę, że miła i zawsze pomocna Marynia Białka, dostawszy się w łapy tych okrutnych rzezimieszków, została przez nich zapewne zabita.

Było jednak inaczej. W dniu zaginięcia dziewczyna rzeczywiście poszła do lasu, chcąc nazbierać lubczyku. Wiedziała, że jej ukochany Filip darzy ją szczerym uczuciem, ale stara Matejowa, co na ziołach najlepiej się знаła, powiedziała jej, że chcąc zatrzymać przy sobie miłość chłopaka na całe życie, musi mu podać w potrawie lubczyk. Wskazała też miejsce, gdzie rośnie to cudowne ziele. Marynia była piękną dziewczyną, miała modre oczy, rumiane policzki i zawsze uśmiechnięte, malinowe usta. Urody dopełniały dwa jasne, długie warkocze. Właśnie taką ujrzał ją między zaroślami rozbójnik Dąbek. Ogromnie mu się spodobała. Nie spuszczać z niej swych kaprawych oczu, wydał z siebie przeciągły świst i zaraz u jego boku pojawiło się dwóch kompanów. Byli to dwaj bracia bliźniacy, których nazywano Zerwipazurem i Wyrwizębem. Straszne to były łotry, zdolne do każdego okrucieństwa, gotowe na spełnienie każdego rozkazu swojego herszta, który, wskazując na zbierającą lubczyk Marynię, szepnął: – Ona musi być moja...

Wkrótce dziewczynę ogarnęła ciemność. Po długim czasie ocknęła się i ujrzała przed sobą, w blasku ognia, straszną twarz nieznanego człowieka. Zdawało jej się, że wciąż śni. Zamknęła oczy, a kiedy ponownie je otworzyła, koszmar nie minął.

– Gdzie ja jestem? – wyszeptała odrętwiałym ze strachu głosem.

– U mnie dziewczko, w moim domku, czyli pieczarze. Nie bój się, nie się tobie złego nie przydarzy – zapewniał rozbójnik. – Musisz jednak

spełniać moje polecenia. Będiesz sprzątać, gotować, chodzić na rynek po zakupy. Nikt tam cię nie rozpozna, bo jeden z moich ludzi tak zmieni twoje piękne liczko, że nikt ciebie w Strzelnie nie rozpozna – tu Dąbek zwrócił się do kompana, siedzącego obok niego. – Nic dziwnego, że nazywamy go Pięknotą. – Ale, ale... – rozbójnik wyraźnie się nad czymś zamyślił. – Muszę znaleźć sposób na to, abyś nie wyjawiała nikomu kim jesteś? Zaraz...zaraz... Już wiem. Wy, ludzie, zwykli zjadacze chleba, jesteście bardzo bogobojni. Przysięgniesz mi zatem na krzyż, że żadnemu człowiekowi nie zdradzisz gdzie mieszkasz.

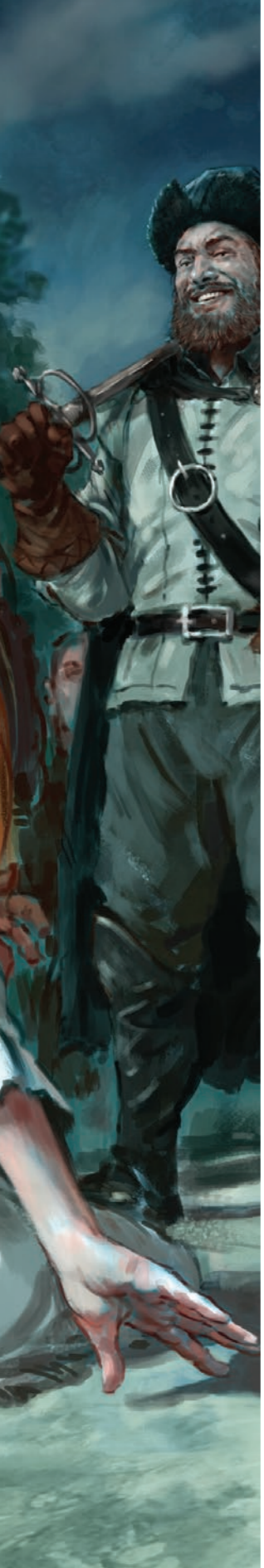
– Szturchadło! – w pieczarze rozległ się tubalny głos herszta. – Przynieś mi ten złoty krzyż, który zdobyliśmy w ostatniej wyprawie!

W jednej chwili poderwał się z ziemi wysoki chudzielec z rudą czupryną, o twarzy zoranej licznymi bliznami. Natychmiast spełnił polecenie Dąbka, w rękach którego znalazł się duży, szczerozłoty krucyfiks. Spojrzał on groźnie na Marynię i, chwyciwszy gwałtownie jej dłoń, położył ją na tym świętym znaku chrześcijaństwa.

– Przysięgnij dochować tajemnicy! – wycodził przez spróchniałe zęby. Przerazona dziewczyna wyszeptała: – Przysięgam!

Od tego dnia Marynia usługiwała Dąbkowi i jego bandzie. Ciągłe myślała o swoim ukochanym Filipie, o ojcu, o sąsiadach i przyjaciółach. „Czy mój los kiedyś się odmieni?” – dumiała, a jej piękne, modre oczy wypełniały się łzami.

Minęło kilka tygodni, nadszedł kolejny targowy wtorek, w którym Pięknota, jak zwykle, zmienił jej twarz w oblicze starszej kobieciny, ukrywając wspaniałe warkocze pod brunatną chustą. Na strzeleńskim rynku gwar jak zawsze panował niebywały. Marynia, obładowana koszami, przypominała sobie, że musi jeszcze kupić mąkę, bo Dąbek miał ochotę na kluchy z okrasą. Nagle dziewczyna poczuła, że ktoś bacznie jej się przygląda. Zwróciła głowę w tamtą stronę i zamarła... To był Filip. Nie oglądając się więcej ruszyła w stronę lasu. Chłopak poszedł za nią myśląc gorączkowo: „Skąd ja znam te oczy?”



Po chwili nie miał już wątpliwości, że to przecież jego Marynia. Widział przesuwającą się między drzewami brunatną chustę. Był coraz bliżej, gdy spostrzegł mostek. Znał to miejsce. Po jego drugiej stronie stała figurka Matki Boskiej. Postać, za którą podążał już tam była. Odstawiwszy kosze, zwróciła się ona w stronę młodzieńca: – Błagam, schowaj się pod mostem!

Gdy chłopak spełnił jej prośbę, ta rzuciwszy się na kolana przed świętą figurą, rozpoczęła swoją bolesną spowiedź. Zwierzała się Najświętszej Paniencie ze swej niedoli, wiedząc, że nie łamiąc przysięgi danej hersztowi, opowiada ukochanemu o swoim cierpieniu. Wysłuchawszy tej smutnej historii, Filip ruszył do miasta, gdzie powiadomił władze o losie ukochanej. Wezwani mieszkańcy Strzelna ruszyli z wielką odsieczą. Pojmano rzezimieszków, osądzono i wymierzono im zasłużoną karę.

Marynia i Filip wzięli ślub, doczekali się gromadki dzieci i żyli w Strzelnie spokojnie i szczęśliwie. ♦



O SILE MATCZYNEJ MIŁOŚCI

Na terenie dzisiejszego Szubina stał niegdyś okazały zamek. Mieszkał w nim możny pan Mikołaj. Miał on żonę i trzy córki. Będąc właścicielem okolicznych wiosek, cieszył się dobrą sławą.

– Dobry jest nasz pan, sprawiedliwie rozsądza wszystkie spory!

– W czasie nieurodzaju spichrze swoje dla nas otwiera, by głód nie zapanował!

Tak chwalono szlachetnego pana Mikołaja, jego żonę i córki. Zwłaszcza najmłodszą z nich, Jagódkę, darzono szczególną sympatią. Trudno się temu dziwić, bo gdy ludzie ją ujrzeli, albo usłyszeli jej perlisty śmiech, mieli wrażenie, że słońce jaśnieje nad całą okolicą nawet wtedy, gdy dzień był dżdżysty. Spokojnie i szczęśliwie płynęły dni. Ludzie czuli się bezpiecznie i biorąc przykład z dobrego pana i jego rodziny, sami stawali się lepsi: pomagali sobie nawzajem, a w trudnych chwilach pocieszali życzliwym słowem lub choćby spojrzeniem.

Ale zdarzyło się raz pewnego, że w lesie, po drugiej stronie rzeki Gąsawki, zamieszkał zły czarnoksiężnik. Baczenie przyglądał się on ze swoich zarośli mieszkańcom zamku i okolicy. Bardzo irytowała go panująca tam zgoda i serdeczność. Wciąż powtarzał, zgrzytając krzywymi zębiskami:

– Już niedługo zburzę wam ten spokój i tę waszą idyllę w perzynę obrócę! A ta dziewczucha, którą Jagódką zwa, będzie mi usługiwać!



Kilka dni później czarnoksiężnik wybrał się na zamek. Wyglądał bardzo dostojnie. Stanąwszy przed panem Mikołajem i jego żoną, odezwał się takimi słowami:

– Pozdrawiam Was, zacni gospodarze. Nazywam się Nikolaus Paravandus. Przybywam z daleka, by szerzyć wiedzę, którą posiadam w ciągu całego mojego życia. Doszły mnie słuchy o niezwyklej mądrości waszej najmłodszej córki, Jagódki. Oddajcie mi ją na nauki, a uczynię z niej najmądrzejszą kobietę świata. Wiedza to przecież skarb, który zawsze podąża za tym, kto go posiada...

Czarnoksiężnik usiłował nadać swemu spojrzeniu łagodną głębię, tymczasem matka Jagódki zobaczyła w nim jedynie obłudę.

– Nigdy nie oddamy ci naszej córki – odpowiedziała stanowczo. – Miejsce dzieci jest przy rodzicach. Jagódka nie musi być najmądrzejsza na świecie. Ważne, żeby była dobrym człowiekiem.

Został więc zły czarnoksiężnik z kwitkiem odprawiony, ale tacy ludzie nie od razu rezygnują ze swoich niecznych zamiarów.

– Czekajcie, czekajcie, już ja was urządzę – powtarzał wściekle, oddalając się z zamku. Pewnego dnia zobaczył pana Mikołaja, wybierającego się na polowanie.

– Już mi bratku żywy z mojej pułapki nie ujdiesz – zasyczał szyderczo i po chwili przeistoczył się w jelenia. Chwilę później pędził tuż przed myśliwym.

– Za mną, za mną! – syczał pod nosem. – Dalej, dalej, za chwilę rozpoczną się bażna!

I rzeczywiście, koń pana Mikołaja ze straszliwym rzeniem zaczął wraz z jeźdźcem zapadać się w grzęzawisku, które ich pochłonęło. A potem nastąpiła cisza...

Wielka żałoba po śmierci dobrego pana Mikołaja okryła nie tylko jego rodzinę, ale i okoliczny lud. Niestety, nieszczęścia na tym się nie skończyły. Zły czarnoksiężnik, przeistoczywszy się w smoka ziejącego ogniem, podpalił drewniane zamczysko. Kiedy ujrzał wdowę z córkami, które z przerażeniem wpatrywały się w kupę popiołu, jaki pozostał po ich domu, pomyślał: „I co, pani Mikołajowo, trzeba było od razu oddać mi swoją córkę Jagódkę! Masz przecież jeszcze dwie inne córki! Teraz pewnie żałujesz swej pochopnej decyzji. Ale dam ci jeszcze szansę!” I stanąwszy przed wdową, zaofiarował jej swą pomoc:

– Wielkie spotkało cię nieszczęście, ale ja ci pomogę. Odbuduję twój dom i sprawię, że znowu będziesz bogata. Musisz tylko spełnić jeden warunek: oddaj mi swoją najmłodszą córkę na nauki!

Wdowa dumnie spojrzała w fałszywe oczy „łaskawcy” i rzekła:

– Nigdy nie oddam ci mojego dziecka! – siła jej głosu była tak wielka, że czarnoksiężnik zrozumiał, że o jakiegokolwiek perswazji nie może być mowy.

– W takim razie – przymilny dotąd głos czarnoksiężnika przekształcił się w syk. – Zamieniam ciebie i twoje córki w pelikany i pozostaniecie pod tą postacią do czasu, dopóki krew matczynej miłości nie zrosi tej ziemi!

W tym momencie zamiast wdowy Mikołajowej i jej dzieci, stanęła na trawie pelikanica, pod skrzydła której tuliły się trzy pelikaniątka. Czarnoksiężnik, ujrawszy swoje dzieło, zaczął się szyderczo śmiać, powodując wibracje wśród zamkowych zgliszczy. Góra popiołu uniosła się tak wysoko, że wszystko wokół stało się szare i niewyraźne. Kurz opadł, a sprawca tego zjawiska jakby się rozpułynał w powietrzu. Tymczasem pelikanica uwiła gniazdko, wymościła je miękkim mchem i codziennie zносиła tam pokarm dla swego potomstwa.

Mijały dni i miesiące. Lato tego roku było upalne i zdawało się, że deszcz zapominał o swoim istnieniu. Wielka susza sprawiła, że przynieszonego do gniazdko przez pelikanicę pokarmu było coraz mniej. Gdy nadszedł dzień, w którym już nic nie mogła dać do jedzenia swoim dzieciom, z rozpaczyc zaczęła drzeć własne piórka, by dziobem uczynić rany dla ujścia swej krwi, mającej uratować dzieci od głodu. Kilka kropel tej krwi spadło na ziemię. I wtedy... cóż to? Po pelikanach nie było śladu, a na polanie stały pani Mikołajowa i jej córki. Kochająca krew matczyzna przywróciła im wszystkim ludzką postać. A jej trzy krople, które spadły na ziemię, zamieniły się w kraszki złota, za które można było nie tylko odbudować zamek, ale i wesprzeć okoliczną, też głodującą ludność!

Dobroć pani zamku stała się tak znana, że na ziemi te zaczęli przybywać nowi ludzie. Powstało miasto, w herbie którego umieszczono wizerunek pelikanicy karmiącej swą krwią pisklęta, co miało przypominać o tym, że matczyzna miłość jest bezgraniczna. ♦



JAK POWSTAŁO MIASTO ŚWIECIE NAD WISŁĄ

Działo się to w XIII wieku, kiedy Polska nie była jednością, a podzielona na dzielnice słabła w wyniku obcych najazdów i walk o ziemię, prowadzonych między dzielnicowymi książętami. Jednym z nich był ambitny książę pomorski Świętopełk II, który znacznie powiększył granice swojego księstwa. Objęło ono również obszar dzisiejszego miasta Świecia. Na nadwiślańskiej skarpie wybudował zamek, co nie podobało się diabłu mieszkającemu na pobliskich wzgórzach. Czart wszelkimi sposobami starał się dokuczać zarówno rybakom, łowiącym w tym miejscu ryby w Wiśle, jak i podróżnym, starającym się dotrzeć rzeką na zamek.

Mimo tych diabolicznych figli, książę Świętopełk lubił to miejsce. Czuł, że w tym zamku, z dala od wojen, które tak często prowadził, naprawdę odpoczywa. Przybywali tu z nim jego rycerze, muzykanci i trefnisie, którzy starali się umilić mu chwile spokoju przed kolejną wyprawą wojenną.

Ale licho nie spało... Pewnego dnia, mimo późnej pory, przebywający w Chełmnie Świętopełk postanowił jeszcze przed nocą dotrzeć do swojego ulubionego zamku. Przygotowano dwie łodzie, do których ochoczo wchodzili rycerze. W jednej z nich ulokował się książę. Był w doskonałym humorze i zaintonował pieśń, śpiewaną wiek wcześniej przez wojów Bolesława Krzywoustego: „Naszym przodkom wystarczyły ryby słone i cuchnące. My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające...”



– Książę, chyba idzie burza – stwierdził jeden z rycerzy. – Może przeczekamy w Chełmnie do rana?

– A co ty Burzysławie taki strachliwy? – zaśmiał się Świętopelk. – Oj, twój ojciec chyba pomylił się, dając ci takie imię!

Rycerz spiekł raka, na szczęście otaczające ciemności ukryły jego zawstydylenie.

– Ruszamy! – rozkazał książę i zaraz potem dwie łodzie znalazły się pośrodku rzeki. Wiał wiatr, który wyraźnie nasilał się, a księżyc skrył się za chmurami. W pewnej chwili ciemności przeciął zygzak błyskawicy i wówczas wszyscy ujrzeli, że wody Wisły zaczynają falować niczym wzburzone morze. Lunał deszcz.

– Co u licha? – krzyknął jeden z rycerzy i wszystkim zdało się, że słyszą dobiegający z nadwiślańskich wzgórz szydery chichot.

– Tam naprawdę mieszka diabeł... – szepnął rycerz Sławoj, przypomniawszy sobie, jak śmiał się do rozpuku, gdy opowiadał mu o tym w chełmińskiej karczynie jakiś człek. Teraz do śmiechu mu nie było. Zbierałymi ze strachu ustami powtarzał: – Najświętsza panienko, miej nas w swojej opiece!

A nawałnica szalała. Wydawało się, że łodzie ruszyły do jakiegoś obłądnego tańca, że wypełnione są nie rycerstwem, a szalejem. Nagle jedna z łodzi przewróciła się. Rozległ się straszliwy krzyk przerażenia zmieniony wkrótce w bulgotanie. Chociaż wokół panowała zupełna ciemność, z łatwością domyślono się strasznej prawdy. Tymczasem druga łódź nadal płasła po rzece.

– Ktoś wypadł za burtę! – wrzasnął Burzysław. – Książę, gdzie jesteś?

Nikt mu nie odpowiedział. I wtedy stała się rzecz niepojęta. Jakieś światło rozjaśniło taflę rzeki, a rycerze ujrzeli podniesioną dłoń, na której błyszczał książęcy pierścień.

– To nasz książę! – krzyknęli wszyscy jednocześnie, chwycili rękę swego ukochanego władcy i wciągnęli go do łodzi, a wkrótce wszyscy szczęśliwie dotarli do brzegu. Przez dłuższą chwilę siedzieli na nim w milczeniu. Pierwszy odezwał się książę.

– Skąd wzięło się to światło? Ono uratowało mi życie!

Wkrótce sprawa się wyjaśniła. Otóż kilka lat wcześniej, w miejscu gdzie rzeka Wda wpada do Wisły i gdzie najczęściej tonęli ludzie, pewien grzesznik



zbudował skromną chatkę. Złożył on przysięgę, że pokutą za jego grzeszne w młodości życie, będzie ratowanie rozbitków. I rzeczywiście niejednego z nich ocalił. Tego dnia, gdy książe Świętopełk przeżył swoją dramatyczną przygodę, pustelnik ów wydobyl z rzeki jakiegoś rybaka. Kiedy jednak przyniósł go na plecach do swojej chatki, uznał, że może się jedynie modlić za spokój jego duszy, która niebawem z nieszczęśnika uleci. Zapalił więc świecę i w tym momencie usłyszał dobiegające z rzeki krzyki. Nie chcąc opuszczać umierającego, podszedł ze świecą do okienka i choć nie przez nie nie zobaczył, zapalona świeca sprawiła, że siedzący w łodzi rycerze dostrzegli unoszącą się nad wodą upierścienioną dłoń. Poznawszy okoliczność swojego ocalenia, uszczęśliwiony książe Świętopełk odezwał się do swoich rycerzy takimi słowami:

– W miejscu ujścia Wdy do Wisły rozkażę zbudować potężny zamek. Na jego wieży będzie płonąć wieczny ogień: w dzień na chwałę miłosiernego Boga, w nocy dla rozświetlenia drogi wszystkim rozbitkom i zbłąkanym!

Gdy po kilku latach szlachetny pustelnik zakończył swoje życie, w miejscu gdzie stała jego chatka, zbudowano, na rozkaz księcia, kościół pod wezwaniem św. Michała, a wokół niego powstało miasto nazwane Świeciem. W jego herbie na czerwonym tle, między dwoma półksiężycami, widnieje srebrna świeca, której złoty płomień rozświetla drogę wszystkim pragnącym przybyć do tego urokliwego miasta. ♦



DLACZEGO W HERBIE TORUNIA ZNAJDUJE SIĘ ANIOŁ?

Był październik 1466 roku, złota, polska jesień... Traktem z Dobrzynia ku Toruniowi posuwał się orszak jezdnych. Obok licznego, uzbrojonego rycerstwa przesuwały się załadowane po brzegi wozy. Widać było, że w orszaku tym jedzie jakaś znacząca persona. I rzeczywiście tak było – to król Kazimierz Jagiellończyk podążał do Torunia, by tam zawrzeć pokój z zakonem krzyżackim. Wojna, jaką Polska prowadziła z Krzyżakami, trwała aż 13 lat. A wszystko zaczęło się od tego, że rycerstwo i mieszczaństwo polskie, mieszkające na ziemiach państwa krzyżackiego, dość już miało ich rządów: bezprawia, wysokich podatków, uginania karków pod wciąż nowymi obciążeniami... W 1440 roku założony został antykrzyżacki Związek Pruski, który postawił sobie za cel przywrócenie tych ziem zagarniętych Polsce przez Krzyżaków w XIII-XIV wieku. Czternaście lat później delegacja Związku przybyła do Krakowa, by błagać króla Kazimierza o wsparcie. Przewodził jej Jan Bażyński, który onegdy był dyplomatą i najemnikiem służącym zakonowi, ale potem znalazł się na czele opozycji. Stanąwszy przed obliczem królewskim, Bażyński przemówił:



– Najjaśniejszy panie, z wielką prośbą my tu do ciebie przybywamy. Włącz ziemie krzyżackie do Królestwa Polskiego.

Zamyślił się wielce monarcha i tak odpowiedział:

– Cięży i nam to krzyżackie sąsiedztwo, ale taka decyzja oznaczać może tylko jedno: wojnę z zakonem. A wojna wymaga pieniędzy! Skąd ja je wezmę?

– Ręczę ci najłaskawszy królu, że my wspierać będziemy ciebie ze wszystkich sił. Pomogą bogate miasta: Gdańsk, Toruń, Elbląg, gdzie już wybuchają antykrzyżackie powstania. W Toruniu powstańcy wysadzili w powietrze zamek krzyżacki!

– Rozważyć to muszę z moją radą, bądźcie jednak dobrej myśli.

6 marca 1454 roku król Kazimierz ogłosił włączenie ziem zakonu do Polski, co spowodowało wybuch wojny. Toczyła się ona ze zmiennym skutkiem. Zaczęła ją bitwa pod Chojnicami, gdzie rycerstwo polskie haniebnie uciekło z pola. Ale we wrześniu 1466 roku wojska polskie pod wodzą Piotra Dunina, po pomyślnych walkach pod Chojnicami, opanowały miasto. I wtedy wielki mistrz Ludwиг von Erlichshausen poprosił o pokój.

I oto król zmierzał właśnie do Torunia na rokowania pokojowe. Towarzyszył mu, oprócz licznej eskorty, Jan Ostroróg – człek wielce w księgach rozmiłowany i Jan Długosz – kanonik krakowski, który od 11 lat tworzył wielkie dzieło „Roczniki czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego”.

W pewnej chwili król spoglądając na ciągnące się po obu stronach drogi puste równiny, rzekł:

– Na ziemiach tych chyba wilki miały swoje legowiska. Im bardziej posuwamy się w głąb obszaru, gdzie legła ręka krzyżacka, tym większe spotykamy zniszczenia. Biedny był ten ludek, który tak boleśnie jarzmo krzyżackie czuł. Ale teraz to się wszystko odmieni.

Westchnął głęboko litościwy król, głowę na piersi zwiesił, lecz nagle się ożywił i wydobywszy z rękawa świstawkę, świsnął przeciągle. Natychmiast przy nim pojawił się jego pacholek Marcin.

– Wiem, że nie znasz języka tutejszego ludu. Znajdź więc kogoś, kto go zna i sprowadźcie mi jak najszybciej mieszkańców tych ziem, może być ich dużo!

Tymczasem monarcha zarządził popas. Pachołkowie rozłożyli grube, niedźwiedzie skóry i rozpalili ogniska, nad którymi w wielkich kotłach zaczęto warzyć strawę.

Wtem od lasu dał się słyszeć tętent i ludzkie głosy. Zaraz potem ujrano wysłanego przez króla pachołka Marcina i jego towarzyszy, prowadzących liczną gromadę powiązanych ludzi. Na koniach zaś siedziały dzieci.

Król uśmiechnął się z zadowoleniem, Marcin stanąwszy przed nim, zawołał wesoło:

– twoja wola, najjaśniejszy panie, została spełniona. Ludzi tych, ślaniających się z głodu, znaleźliśmy w gęstwinie – uciekli przed krzywdami, czynionymi przez Krzyżaków.

– My ich nakarmimy! – na te słowa króla jego pachołkowie rozdzielać zaczęli w drewniane kubki rozgotowaną kaszę i kromki chleba. A ci biedni, zgłodniaли ludzie brali naczynia drżącymi rękami i patrzyli z niedowierzaniem... Potem ich twarze „utoneły” w jadle.

Cztery dni później król z całym orszakiem wjechał do Torunia. Dzwony biły radośnie, a toruńscy mieszczanie z zadowoleniem oddali monarsze klucze do miejskich bram. Witając go chlebem i solą, prosili o opiekę. Z pewnym niepokojem patrzyli jednak na owych zabranych w drodze nie-szczęśników. Ale król rzekł uspakajająco:

– Nie obawiajcie się tych gęb, bo żywność mam nie tylko dla nich lecz i dla was. A i innych mieszkańców tych ziem moi pachołkowie już w chleb zaopatrują.

Odpowiedziało mu gromkie:

– Niech żyje Król Kazimierz Jagiellończyk!!!

Wciąż słyszał te radosne okrzyki król, kiedy wraz z polskimi panami wchodził do toruńskiego ratusza, w którym czekała już starszyzna krzyżacka z wielkim mistrzem Ludwikiem na czele. Rozpoczęto obrady. Zaczął wielki mistrz:

– Pozwólcie, miłościwy panie, że najpierw nasz sekretarz przeczyta przygotowane przez nas warunki pokoju, tak ważnego dla obu stron. Kazimierz spojrział wymownie na przebiegłe oczka krzyżaka.

– Niech i tak będzie – rzekł powoli. – Wyrażam jednak nadzieję, że nie zapomnieliście przy sporządzaniu tego dokumentu, że to wy jesteście pokonanymi, Polacy zaś są zwycięzcami w tej wojnie.

Wielki mistrz puścił tę uwagę mimo uszu, a sekretarz krzyżacki, rozłożywszy nieduży rulon papieru, zaczął czytać go po niemiecku. Zdążył jedynie wypowiedzieć parę słów, gdy przerwał mu oburzony monarcha:

– Po niemiecku? Protestuję!

– Ale my nie znamy waszej mowy – tłumaczył Ludwíg von Erlichshausen.

– A my nie chcemy znać waszej. Jest przecież język neutralny – łacina i w tym języku trzeba sporządzić dokument.

– Ale to wymaga czasu... – próbował oponować ktoś z krzyżackiej starszyzny.

– Wojna trwała 13 lat i te 2 dni zwłoki niewiele znaczą – w głosie polskiego monarchy brzmiała stanowczość.

Wtedy wielki mistrz jękając się nieco, przyznał:

– Sporządziliśmy na wszelki wypadek to pismo również po łacinie...

Król Kazimierz, Ostroróg i Długosz spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– No to czytajcie – król nieco wygodniej rozsiadł się w swoim fotelu.

Ale sekretarz czytał krótko. W związku z tym, że Kazimierz w łacinie nie był zbyt biegły, zwrócił się do Jana Długosza: – Przetłumaczcie.

I kanonik krakowski wyjaśnił, że Krzyżacy deklarują, iż wojny z Polską nigdy podejmować nie będą i że oddadzą ziemię chełmińską i michałowską.

– Tylko tyle? – brwi monarchy podniosły się tak wysoko, że Długosz pomyślał: „W takim zdumieniu jeszcze nigdy króla nie widziałem.” A zaraz potem rozległ się donośny śmiech monarszy:

– Żarty! Żarty! – wołał na cały głos, wówczas gdy wielki mistrz popadał w coraz większe zakłopotanie. Wreszcie krzyżacki zwierzchnik, nabrawszy powietrza, jął przemawiać starając się zademonstrować swoją pewność.

– A co? Wy chcecie nas wyzuć z wszystkich ziem, tak? I jeszcze zabrać całą naszą ludność?

W tym momencie twarz monarchy stężała. Rozważał coś przez chwilę, po czym wysunął z rękawa świstawkę i... świsnął. Cała starszyzna krzyżacka zerwała się na równe nogi.

– Nie obawiajcie się – rzekł uspakajająco Kazimierz. – Tu nie będzie żadnego zamachu, żadnego podstępu. My, Polacy nie stosujemy waszych metod. A teraz mistrzu, podejdź ze mną do okna i spójrz.

Ludwig von Erlichshausen ujrzał zalegające rynek tłumy zabiedzonych nieszczęśników zebranych na rozkaz Kazimierza z okolicy.

– To są wasi poddani? – pytał ironicznie polski monarcha. – To byli wasi niewolnicy żyjący w nędzy, bo przez lata czuli na swoich karkach krzyżacki bat. Ale to się już skończyło... Kanoniku! – tu zwrócił się do Jana Długosza. – Czytaj teraz nasze warunki!

Jan Długosz rozwinął pergamin i zaczął czytać, pięknie akcentując każde łacińskie słowo. Krzyżacy mieli oddać Polsce Pomorze Gdańskie, ziemię chełmińską, michałowską, Warmię, Malbork, a pozostawione im ziemie jako Prusy Zakonne z Królewcem stawały się zależne od Królestwa Polskiego.

– To dyktat! – krzyknął wielki mistrz, gdy Jan Długosz skończył.

Król Kazimierz zadał tylko jedno pytanie: – Chcecie wojny?

– Niiieeee! – odkrzyknęła chórem starszyzna krzyżacka.

Długo wspominali torunianie monarszy pobyt w ich mieście, które znalazło się w granicach Królestwa Polskiego. Zastanawiano się też nad tym, w jaki sposób uczcić zwycięstwo Polski nad Krzyżakami.

– Toruń w Polsce – powtarzali uszczęśliwieni mieszkańcy.

Nie wiadomo, kto pierwszy rzucił pomysł, że godnym upamiętnienia sukcesu wojny trzynastoletniej będzie odlew dzwonu, który powinien zawisnąć w kościele Świętych Janów. Wykonanie tego dzwonu powierzono sławnemu ludwisarzowi Marcinowi Schmidtowi. Hojność torunian była

wielka, bo i też cel wspomniały. Wreszcie dzieło było gotowe i wzbudziło ono powszechny podziw. Dzwon ważący 7238 kg, a wysoki na 2,76 m nazwano Tuba Dei, co znaczy „Trąba Boża”. Jego dźwięk usłyszano po raz pierwszy 31 grudnia 1500 roku. Okazał się tak potężny, że dotarł do nieba. Zadowolony Bóg zesłał do miasta anioła, by ten swoim pojawieniem, wyraził torunianom wdzięczność. Dla upamiętnienia tego zdarzenia, rajcy miejscy podjęli decyzję o umieszczeniu w herbie Torunia wizerunku anioła, który odtąd ma miasto w swojej pieczy. ♦





O KRZYWEJ WIEŻY W TORUNIU

Żli byli torunianie na mieszkańców bydgoskiego grodu za to, że ci nazywali ich „Krzyżakami”. Bo czyż to była ich wina, że Konrad Mazowiecki, sprowadziwszy Krzyżaków do Polski, oddał im ziemię chełmińską, na której właśnie gród toruński leżał? Bydgoszczanie panoszyli się na szlaku wiślanym, napadali na statki torunian, a ci nie pozostawali im dłużni. Procesom sądowym nie było więc końca, ale żeby od Krzyżaków wyzywać!? A czy historia Barbary z Torunia nie świadczy dobitnie o stosunku torunian do rycerzy z krzyżami na płaszczach? O Wandzie z krakowskiego grodu, co Niemca nie chciała i w nurty Wisły się rzuciła, cała Polska słyszała, bo ją mistrz Wincenty Kadłubek spisał, ale o dzielnej toruniance jedynie coś tam zamruczy...

Barbara była piękna. Mieszkała z ojcem w kamienicy, stojącej przy samiuśkim rynku. Domy te zajmowali najbogatsi mieszczanie, patrycjuszami zwani. Gdy wchodziła ona do franciszkańskiego kościoła Wniebowzięcia NMP wydawać się mogło, że to majowe słońce przedostało się przez grube mury. Właśnie tam ujrzał ją Zygfryd, jeden z dwunastu rycerzy zakonnych, zajmujących toruński zamek. Odtąd nie mógł już o niej zapomnieć. W bezsenne noce krążył po zamkowych komnatach i murach. Znał już jej imię,



Barbara. Wiedział, że nie stawiając tamy narastającemu uczuciu, łamie przysięgę rycerza zakonu. Przysięgę, w której wyrzekał się wszelkiej ziemskiej miłości. On tymczasem czuł narastający ogień serca. Barbara już zauważyła, że ją śledził. Widziała jego czarne, świdrujące oczy i coraz większy niepokój mącił jej umysł. Zwierzyła się ojcu, który głęboko się zafrasował, a po chwili rzekł:

– Barbarko, może przyspieszymy twój ślub z Jędrzejem z Chełmna? Na dźwięk imienia ukochanego chłopaka, Barbara aż pokraśniała, ale stanowczo odrzekła:

– Nie, tatku. Toż jeszcze rok nie minął od śmierci ukochanej mateczki. Żle bym się czuła, gdybym obyczajów nie przestrzegąca.

Jędrzejowi, który co tydzień odwiedzał swoją narzeczoną, nie rzekła o natrętnym zalotniku. Bała się, że wpadłby on w taki gniew, że Krzyżak jednym ciosem miecza zostałby powalony. A za taki postępek Jędrzejowi groziło podcięcie gardła.

Był piękny lipcowy wieczór, gdy Barbara wracała do domu. Zasiadła się nieco u Kachny, którą na druhnę swoją wybrała. Jeszcze tylko dwie niedziele, a zostanie żoną tego, przy którym serce bije tak mocno: stuk-stuk, stuk-stuk. Ale co to? Od bramy jej domu oderwał się jakiś cień... w długim, białym płaszczu. Przebóg! To ten prześladowca! Trzeba uciekać. Ruszyła w stronę Bramy Chełmińskiej. W pewnej chwili usłyszała chrapliwe:

– Barbaro! – Biegła coraz szybciej. Czuła już jego oddech i znowu: – Barbaro! Przecież lubiła swoje imię, ale gdy wydobywało się ono z gardła tego Niemca z ostrym „barr...” miała wrażenie, że jej własne imię pali ją w uszy. Brama jeszcze nie jest zamknięta. Dlaczego nie stoi przy niej żaden halabardnik? Już widziała przed sobą Wisłę, nad którą tyle razy przechadzała się z ukochanym. Gdzie on teraz jest? Pewnie przygotowuje się do ślubu.

– Barbaro! Ukochana! Ty musisz być moja! – wołał Zygfryd, a ona czuła, że nakrywa ją jakaś płachta. W odpowiedzi krzyknęła:

– Nigdy! Wolę umrzeć – wzniosła ręce ku rzece i poprosiła:

– Wisło, uratuj mnie przed pohańbieniem! – wskoczyła w jej głębinę.

– Barbaro! Barbaro! – głos krzyżackiego rycerza był coraz bardziej rozdzierający. W gości rozpaczy Zygfryd padł na nadwiślański piasek i zaczął nim, niczym popiołem, posypywać sobie głowę. – Cóżem ja uczynił? – zawodził z żalem. Potem kazał zbudować Krzywą Wieżę, jako symbol pełnego grzechów życia, a do końca swoich dni nie przemówił już do nikogo ani jednym słowem.

Stoi ona do dziś wtopiona w mury miejskie, tak samo krzywa, jak niegdyś, a niektórzy twierdzą, że nawet bardziej. Jak jest naprawdę? – każdy może sprawdzić. Mówi się że ci, których grzechy cięższe są od grzechu wspomnianego Krzyżaka, nigdy nie zdołają utrzymać równowagi, opierając się plecami o ścianę wieży, i tym samym nie zaliczą „testu prawości”. ♦





O TORUŃSKICH KATARZYNKACH

Wesołe było dzieciństwo rumianej Katarzynki. I serdeczna matuchna, i pracowity ojciec – piekarz Pieczychleb – kochali ją nad życie. We wszystkich zaułkach toruńskiego miasta słyhać było perlisty śmiech dziewczynki.

– Katarzynko! – wołała stara Bardochowa, która z trudem powłóczyła nogami – przyniesiesz mi chleb z piekarni swego ojca? Nie ma w Toruniu lepszego pieczywa!

A Katarzynka biegała od domu do domu, sprzedając chrupiące bułeczki i okrągłe chleby ze złocistą skórką. Ale zdarzyło się nieszczęście. Ukochana matka dziewczynki, do której ta nie zwracała się inaczej jak „mateczko”, ciężko zachorowała i po kilku dniach wydała ostatnie tchnienie. Wielka żałoba okryła dom pracowitego piekarza Pieczychleba. Także sąsiedzi łzy ronili, bo dobra i życzliwa była to kobieta.

Z troską patrzył piekarz na swą jedynaczkę, której niegdyś rumiane policzki stały się bladziutkie. „Katarzynka potrzebuje matki – myślał.” Kiedy więc poznał córkę młynarza z Podzamecza – rudą Gertrudę – uznał, że będzie ona serdeczną opiekunką dla Katarzynki. Ale już na drugi dzień po ślubie nowa małżonka pokazała swoje prawdziwe oblicze. Była złą macochą. Wciąż szturchała pasierbicę, krzyczała na nią, nazywała darmożjadem. Zupełnie inaczej przemawiała do swojego pupila – wielkiego, pręgowatego kocura o imieniu Diabello. Czasami zwracała się do niego per Diabutek i wsadzała do pyszczka najsmaczniejsze kąski. Do męża zaś mówiła:



– Twoja leniwa córuchna wyżre nam ze spiżarni wszystko, co dzięki mojej gospodarności udało się tam zgromadzić!

Nękanie ciągłym gderaniem żony i zatroskany z powodu mizernego wyglądu swojej Katarzynki, Pieczychleb rozchorował się i już z łóżka nie wstał. Jeszcze nie minął czas żałoby, a ruda Gertruda ponownie wyszła za mąż. Jej wybrankiem był człowiek równie zły jak ona. Wypędzili biedną sierotę z ojcowskiego domu, a podła macocha wołała za nią:

– Możesz zamieszkać w starym młynie. Tylko nie waz się kręcić wokół mojego domostwa, bo cię psami poszczuję, a mój kochany Diabulek wbije swe pazurki w twoje kościste rączyska!

Zamieszkała więc Katarzynka w opuszczonym młynie. Jej pożywieniem było to, co znalazła w lesie. Czasami jakiś litościwy rybak dał jej złowioną rybkę. Pewnej nocy usłyszała jakby we śnie:

– Kaśko, ratuj mnie z tej matni zanim wydam dech ostatni!

Szeroko otworzyła oczy. Księżyc był właśnie w pełni i rzucił światło na młyńską izbę. Zobaczyła wstrętne kocura swej macochy. Miał on właśnie sięgnąć swoją długą łapą po upatrzoną ofiarę – mysz, gdy Katarzynka chwyciła stojący obok kosz i trafiła nim w Diabella. W tym momencie mysz uciekła do dziury. Kot długo patrzył na dziewczynkę nienawistnymi, jarzącymi się ślepiami... „Nie mogę tu dłużej żyć” – pomyślała dziewczynka. Nazajutrz o świcie opuściła stary młyn i pognęła w stronę, stojącego pod czerwonymi murami Torunia, klasztoru.

Kiedy furtianka Hildegarda spojrzała przez kratę, ujrzała znajomą dziewczynę. Rozpoznała ją mimo poblądłej, pociągłej twarzyczki.

– Katarzynka? Co cię tu przywiodło? – spytała.

– Muszę zobaczyć się z przeoryszą! – jej głos drżał, a do oczu cisnęły się łzy.
– Muszę! Muszę!

Stanąwszy przed przelożoną z płaczem padła jej do nóg:

– Matko, błagam, przyjmij mnie do konwentu!

Gdy przeorysza usłyszała opowieść o cierpieniach Katarzynki, przytuliła ją do serca i powiedziała: – Tutaj będziesz bezpieczna!

I tak było naprawdę. Katarzynka nawet czasami bardzo się dziwiła, bo mniszki

spały długo, a dzwon klasztorny zamiast wzywać na msze, wzywał na smakowite śniadanka. Życie w klasztorze było wesołe. Katarzynka, która sama doznała wielu cierpień, nie potrafiła dzielić z mniszkami ich bez troski. Wkrótce jednak nastął czas straszny dla wszystkich – epidemia „czarnej śmierci”, czyli dżumy, przywleczona z Chin przez kupców. Ta straszna choroba zbierała obfite żniwo w całej Europie. Zabrakło rąk do uprawiania ziemi, więc zapanował głód. Przed furta klasztorną gromadziły się tłumy głodujących, błagających o pomoc. Stanowiły go wdowy i sieroty, ale także dawni bogacze, teraz bardziej do kościotrupów, niż do żywych istot podobni. Zasobne niegdyś spiżarnie klasztorne całkowicie opustoszały. Skończyła się wesołość mniszek. One też były głodne.

Pewnej nocy Katarzynka miała dziwny sen, w którym ujrzała mysz, uratowaną przez siebie od kota Diabella. Przemówiła ona ludzkim głosem:

– Jestem Mysim Królem. Ty, Kaśko, uratowałaś mi życie, więc teraz ja wybawię ciebie i wielu innych głodujących. Zrób tylko to, co ci powiem. Zejdź do klasztornych podziemi, tam znajdziesz w dzieżach 50-letnie ciasto, które należy upiec.

Katarzynka zaczęła wypiekać smakowite pierniki i karmić nimi głodujących. Z wdzięczności do niej nazwano je „katarzynkami”. Z czasem pyszne pierniczki stały się jedną z wizytówek Torunia.

Niewiele osób wie, iż prawdziwe toruńskie pierniki, dostępne są tylko dla wybranych. Nie tylko ze względu na swoją wysoką cenę, ale także sposób ich przygotowania – ciasto potrzebne do wyrobu tych przepysznych smakołyków leżakuje aż dwa pokolenia! Związane jest to z pewną tradycją. Dziadek nastawia ciasto, a z przygotowanej masy pierniki piecze dopiero wnuk. Inny zwyczaj powiązany jest z dwiema uroczystościami. W dniu chrzcina syna nastawia się ciasto do leżakowania, które przeznaczone jest do wypieku na wesele młodego potomka. Im dłużej chłopak nie żeni się, tym lepszy piernik wychodzi po upieczeniu. Ponadto w języku polskim utarł się frazeologizm „stary piernik”, oznaczający pogardliwie starszego mężczyznę. Wnętrza toruńskich piwnic wciąż skrywają mnóstwo ciasta, które czeka już kilkadziesiąt lat na swoją kolej do pieczenia. Piernikami tymi raczą się możni tego świata oraz prezydenci, królowie i dygnitarze. ♦



O TORUŃSKIM FLISAKU

Na rynku Starego Miasta w Toruniu znajduje się pomnik – fontanna, przedstawiający flisaka ze skrzypcami. Jakże jest miło w ciepłe, letnie dni przyłożyć rękę do jednego z pyszczków ośmiu żab, z których tryska orzeźwiająca woda. Fontanna ta związana jest z pewną legendą.

W średniowieczu Toruń rozwijał się znakomicie. Na rynku znajdowały się sukienice, kramy i waża miejska, na której każdy mógł zważyć kupiony lub sprzedawany towar. W dni targowe panował na rynku niebywały zgiełk. Między stoiskami krążyli nie tylko ci, którzy pragnęli coś kupić. Pojawiało się tu także wielu złodziejasków, kuglarzy, grajków i „ciekawskich”, myślących, że „tego dnia zdarzy się tu coś wyjątkowego”. Stałą bywalczynią toruńskiej Starówki była sędziwa żebraczka Matylda. Nie lubiano jej powszechnie, bo i głos miała skrzekliwy i rękę po jałmużnę wyciągała w najmniej odpowiednim miejscu: a to przy kramie z delikatnym sukniem, przy którym zatrzymywały się najbogatsze toruńskie mieszczki, a to przy ławie, gdzie piekarz Maćko sprzedawał złociste, pachnące chleby. Ludzie chcieli sycić swe oczy pięknymi, mieniącymi się tkaninami, chłonać w nozdrza kuszące zapachy, a tymczasem widok nędznej, starej żebraczki psuł im humor i odbierał apetyt na świeżutkie pieczywo. Oj, często słyszała Matylda wiele cierpkich



słów: „Zawalidroga!”, „Nierób!”, „Brudas!”, „Mój Boże!” – myślała wówczas. – „Gdyby ci wszyscy ludzie wiedzieli, jak ja w życiu ciężko pracowałam! Tylko złorzeczyć potrafią!” Któregoś dnia usłyszała: „Że też taką jeszcze ziemia nosi! Nikomu niepotrzebna, tylko zawadza.” Tego było już za wiele – miarka się przebrała.

Ludzie, którzy opowiadali potem o tym zdarzeniu, byli gotowi przysiąc, że głos, który usłyszeli, nie wydobywał się z ust Matyldy, ale z jakiejś niewidzialnej istoty. Takie oto słowa dotarły do wszystkich:

– Wy, ludzie bez serca, od których nie zaznałam nigdy niczego dobrego – przeklinam was! Myślicie tylko o pieniądzach, o zysku, o kupnie coraz to nowych błyskotek, a nie widzicie wokół ludzkiego cierpienia. Teraz i ono was dotknie!

Głos zamilkł i zapanowała zupełna cisza. Nikt nawet nie zakaszał, ani nie kichnął. Gdy Matylda z rozwichrzonymi, białymi włosami przesuwiała się między kramami, wszyscy ustępowali jej miejsca. Wkrótce zniknęła. Ludzie powrócili do swoich domów w przeczuciu nadchodzącego nieszczęścia. Nazajutrz, wczesnym rankiem obudziło torunian donośne kumkanie. Przerażeni wylegli na ulice i to, co ujrzeli było czymś niewyobrażalnym: tysiące, ba, dziesiątki tysięcy żab zalegało całe miasto. Wdzierały się pod cudne jedwabie, skubały złociste chleby piekarza Maćka, wskakiwały do słoików z cukierkami, chleptały mleko z baniek przywiezionych na rynek przez podtoruńskich wieśniaków, panoszyły się w pokojach bogatych mieszczan, żyjących w staromiejskich kamienicach. Istna plaga! Mijały dni i widać było, że nowi goście na dobre zadomowili się w grodzie nad Wisłą. Sklepikarze zwinęli swe kramy, piekarz Maćko przeniósł się do Bydgoszczy, a okoliczni chłopci wozili swoje mleko, masło, sery, jaja w inne miejsca. Toruń, jeszcze niedawno tak ludny i bogaty, ubożał. Co robić? – zastanawiali się prerażeni rajcy miejscy, a burmistrz był tą sytuacją tak poruszony, że posiwił jak gołąbek. Któregoś dnia, gdy siedział w dębowym, burmistrzowskim fotelu i jak zwykle targął z rozpachy swoją siwą czuprynę (wcześniej robił to z brodą, ale już ją wyrwał), pewna myśl zakiełkowała w jego znekanej głowie:

– Wiem! – zawołał do rajców. – Trzeba zwołać na rynek wszystkich mieszkających w Toruniu kawalerów!

Miejscy heroldowie dwoili się i troili, by dotrzeć do każdego domu. Stawili się wszyscy, choć rechoczących wokół żab było znacznie więcej, niż stojących między nimi par ludzkich nóg.

– Kochani torunianie! – zawołał wódarz miasta przy nieustannym kum, kum, re, re, kum, kum, re, re... – Jeśli któryś z was znajdzie sposób na pozbycie się tych – tu wskazał na obskakujące jego nogi płazy – nieproszonych gości, otrzyma wysoką nagrodę pieniężną i... – tu głos mówcy nieco się załamał – moją jedyną córkę, Hildę, za żonę.

Niemal w tej samej chwili zgromadzeni usłyszeli donośny, młody głos, dobiegający gdzieś z końca tłumy:

– Ja tego dokonam – mówił z pełnym przekonaniem jasnowłosy młodzian. – Moje imię brzmi Iwo. Na nagrodzie pieniężnej mi nie zależy. Jestem flisakiem. Złowione w naszej czystej rzece ryby spławiam Wisłą do Gdańska i mam z tego godziwy zarobek. Ale twoją córkę, którą widuję w kościele, pragnę poślubić i szanować. Jeżeli wykonam zadanie i zostanie ona moją żoną, zapewniam, że nie zazna przy mnie biedy... A teraz ludzie – zwrócił się do zgromadzonych – wracajcie do domów i zaufajcie moim planom.

Nastała piękna, gwiazdzista noc. Torunianie spoglądali przez okna na złocisty rogał księżycy, myśląc: „Jakże byłoby pięknie, gdyby nie ten ciągły rechot”. Ale co to? Coraz wyraźniej docierał do ich uszu jakiś inny, iście anielski dźwięk.

– To skrzypce – szepnęła Hilda, córka burmistrza i przez okno swojej kamienicy, stojącej przy rynku, spojrzała w dół. Czy to możliwe? Ależ tak. Na kamiennym bruku toruńskiej Starówki stał ten sam chłopak, którego każdej niedzieli spotykała w kościele Świętych Janów. Miał w dłoniach skrzypce i grał. Jak on grał! A wokół niego... mnóstwo żab! Gdzież uleciał ten straszliwy rechot? Słyszać tylko muzykę... Skrzypek powoli zmierzał ku Bramie Chełmińskiej, a dokuczliwe płazy posuwały się za nim niczym w tanecznym korowodzie. Już go nie widać... Dźwięczna muzyka uwiodła żaby, które na dobre zniknęły z miasta. Czy trzeba dodawać, że potem odbyło się huczne wesele Hildy i Iwa, na które przybyli wszyscy torunianie i wieśniacy z okolicy? ♦



DLACZEGO W HERBIE TUCHOLI ZNAJDUJE SIĘ ŚWIĘTA MAŁGORZATA?

W religii chrześcijańskiej mamy osiem świętych o imieniu Małgorzata. Ta, o której będzie mowa w naszej legendzie, to św. Małgorzata Antiocheńska. Żyła ona w czasach, gdy chrześcijanie byli prześladowani przez okrutnego cesarza Dioklecjana. Nie chcąc wyrzec się wiary, została ścięta i wkrótce uznano ją za świętą. To właśnie ona uratowała Tucholę przed wrogiem... W jaki sposób?

Działo się to tak dawno temu, że nie wiemy, skąd przybyły owe wojska, które pewnego wczesnojesiennego dnia obległy tucholski gród. Wiemy natomiast, że dzielni tucholanie z wielkim zapałem przystąpili do jego obrony. Widzieli, stojąc na wałach, jak napastnicy ze świeżo ściętych drzew budują maszyny oblężnicze. Byli jednak pewni, że nie zniszczą one – zbudowanych z drewnianych kłoców wypełnionych ziemią – wałów.

– Nie dadzą nam rady – mówił dowódca obrońców Brzyk. – Będą się starali dostać do nas po drabinach, a wtedy „poczestujemy” ich roztopioną smołą.

– Wyręczymy piekło! – skomentował słowa dowódcy jeden z obrońców, a inni odpowiedzieli śmiechem.



– A jak nas podkopią? – głos Jędrzeja zdradzał zaniepokojenie.
– Nie mają szans – uspokoił go Brzyk. – Wały są zbyt grube.
– A czy wystarczy nam mieczy, tasaków, włóczni, strzał? – pytali jeden przez drugiego.

– Jeśli wrogowie nie wedrą się do grodu, tasaki i miecze nie będą potrzebne – na czole Brzyka pojawiła się podłużna zmarszczka. – Dużo zależy od tego, jak długo będą nas nękać. Mamy początek jesieni. Pamiętajmy, że zapasy żywności kiedyś się skończą.... Bądźmy jednak dobrej myśli.

Minął tydzień, drugi, trzeci... Gdy zaczynał się drugi miesiąc oblężenia, jesień szumiała swoimi złocistymi liśćmi, a obrońcom zdawało się, że z tego szelestu dociera do nich jakiś niewieści głos powtarzający: trwajcie, trwajcie. I znowu mijały tygodnie, jesień spochmurniała, straciła urodę, a jej ogołcone gałęzie straszyły swoją brzydota. Kończył się zapas strzał, wydzielone porcje żywnościowe stawały się coraz skromniejsze, wielu dzielnych obrońców padło czy to z wyczerpania, czy rażenia strzałą wroga. Coraz mniej było tych, którzy mogli ich na wałach zastąpić. Już nie pytano dowódcę Brzyka o szanse na obronę grodu. Spoglądano na jego posępne oblicze, w pozbawione blasku oczy i rozumiano, że oto nieuchronnie zbliża się dzień kapitulacji.

Była połowa listopada. Kryjące się za lasem słońce pozostawiło na niebie jeszcze wstążkę jasności. Niewielka garstka obrońców, skupiwszy się wokół Brzyka, milczała ponuro. W końcu któryś z nich odezwał się cichym głosem:

- Żeby choć żony nasze i dziecieczki najmilsze można było uratować...
- Spójrzcie... co to? – te słowa Brzyka wyrażały najwyższe zdumienie.

Wszyscy patrzyli w tę samą stronę, gdzie znikający za lasem blask zachodzącego słońca zaczął nagle formować się w jakąś postać kobiecą... Miała ona na sobie srebrną suknię, na głowie koronę, w prawej dłoni trzymała gołębia, w lewej krzyż.

– Toż to święta Małgorzata – wyszeptał Jędrzej. I wtedy wszyscy usłyszeli powracający jakby echem niebiański głos:

– Otuchy nie traćcie! Ducha nie gaście! Jako Pan Jezus każe – miłujcie swoich nieprzyjaciół. Gdy ktoś ciska w was kamieniem, wy w niego chlebem. Zwycięzycie,

ale nie bronią. Z resztki mąki, jaka pozostała na dnie waszych skrzyń, wypieczcie chleb i wyrzucie za mury miasta – jeszcze uśmiechnęła się i już jej nie było.

– Miałem dziwny sen – powiedział Krzych, przecierając oczy. – Śniła mi się... – Święta Małgorzata – odpowiedział Bartek.

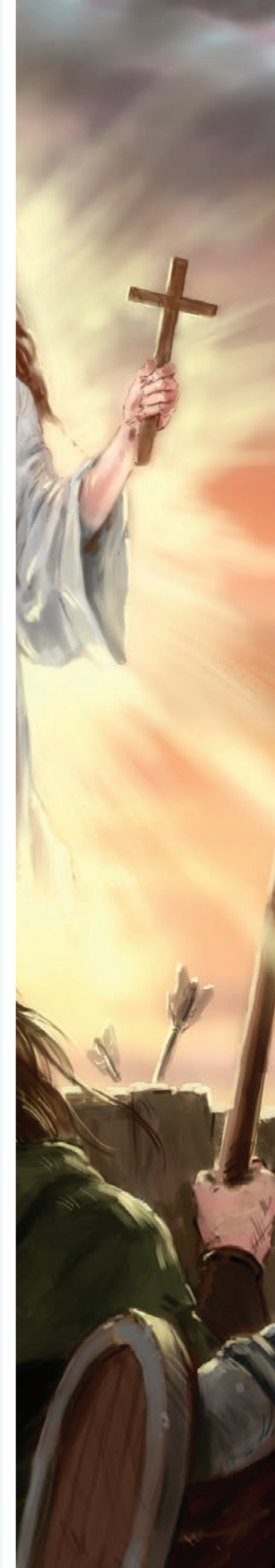
I już wszyscy wiedzieli, że to zdarzyło się na jawie i że chociaż jest zimny, listopadowy wieczór, ich serca ogrzała właśnie tak długo w nich nieobecna otucha. Nastął ranek. Oblegający tucholski gród napastnicy szykowali się właśnie do ostatecznego natarcia. Ich dowódca wydał już odpowiednie rozkazy.

– Zaraz rozgnieciemy tę pchłę – zawołał, a odpowiedział mu wielogłosowy, szyderczy śmiech.

Lecz, co to? Zamiast gradu kamieni i strzał sypnęły się na napastników... nie do wiary – jeszcze ciepłe bochenki chleba. I jakie smaczne! Dowódca wbił swoje wielkie zęby w chrupiącą skórę.

– Ale, ale... skoro oni rzucają w nas chlebem, muszą mieć go pod dostatkiem. Co to oznacza? Że mogą się bronić jeszcze przez całą zimę! A my? My tu możemy tylko marznąć, a nawet zamarznąć. A ja tak tęsknię do mojego syneczka... Zwijamy oblężenie! – głos dowódcy brzmiał kategorycznie, ale wszyscy jego żołnierze przyjęli wiadomość z ulgą. Wykonując rozkaz wodza, chrupali z przyjemnością smaczne chlebki, myśląc przy tym, czy po powrocie do kraju ich żony też im takie upieką.

Tak to fortel, doradzony przez świętą Małgorzatę, okazał się skuteczny. Nic więc dziwnego, że wdzięczni tucholanie umieścili jej wizerunek w herbie miasta. ♦





WĄBRZEŹNO

O SKARBACH Z ZAMKOWEGO JEZIORA W WĄBRZEŹNIE

Podobno na dnie Zamkowego Jeziora w Wąbrzeźnie spoczywają wielkie skarby: szczerozłote pierścionki z drogocennymi kamieniami, kolczyki przepięknie grawerowane, kolie, bransoletki, łańcuszki. Ponadto misy, puchary, misternie zdobione posążki, kubki z wymyślną ornamentyką i wiele innych cennych przedmiotów. Ktoś kiedyś powiedział, że gdyby ustawiono je obok siebie, można by nimi opasać całą ziemię. Ktoś inny dodał, że nawet dwa razy, ale tu chyba mocno przesadził. Skąd się te skarby wzięły?

Mieszkała kiedyś w Wąbrzeźnie niezwykle bogata panna. Roilo się wokół niej od zalotników. Jednak żaden z nich nie zwracał uwagi na przynioty jej ducha i umysłu, a miała ich przecież niemało. Pomażała potrzebującym, pocieszała cierpiących, kochała dzieci i zwierzęta. Założyła ochronkę dla sierot, którą wyposażyła w łóżeczka, lekarstwa, zabawki i zapewniała maluchom najlepszą opiekę. Udzielała schronienia zarówno zbłąkanym pieskom, jak i tym, które ludzie jej podrzucali.



– Za głośno szczeka! Za dużo żre! Za dużo choruje! Linieje i brudzi mieszkanie! To były powody, dla których okrutni ludzie porzucali swoich najwierniejszych przyjaciół. A panna Wanda miała serce dla wszystkich. Posiadała też rozległe zainteresowania, zwłaszcza naukami humanistycznymi, co było wówczas wśród białogłów rzadkością. Adorowało ją wielu mężczyzn, jednak Wanda nie miała złudzeń, co do istoty ich umizgów. Wszyscy udawali tylko zakochanych. Wyznawali jej miłość wyuczonymi formułkami, ale ich oczy lśniły jedynie żądzą posiadania jej majątku. Byli i tacy, którzy rzekome uczucia nawet wyśpiewywali, ot choćby ten Zygfryd, który kilka dni temu uraczył ją swoim wyznaniem takimi słowy:

„Wando, Wando, oj Wandeczko,
kocham ciebie ma dziewczeczko.
Damy sobie to, co mamy
i się szczerze pokochamy”.

A potem dodał: – Ja już oczywiście ciebie kocham, najdroższa.
A Wanda pomyślała: „Nie dość, że kłamie, to jeszcze fałszuje”. Chociaż zawsze starała się swych zalotników grzecznie traktować, tym razem ze złością odśpiewała:

„Nieszczery Zygfrydzie – fałsz ci bije z oczu,
twe rymy są kiepskie, brak ci przy tym głosu!
Mówisz, że kochasz mnie mocno i szczerze,
a ja twoim słowom zupełnie nie wierzę.
Me wielkie pieniądze tylko nęcą ciebie,
skończ więc już z tą farsą i wracaj do siebie!”.

Zygfryd najpierw zaniemówił, a potem wybuchnął:
– A ja się tak starałem! Odbyłem do ciebie długą drogę, dwa razy zatrzymałem się na popasie, zapłaciłem poecie za napisanie rymów i co? Nie opłaciło się, tylko poniosłem same straty!

– Precz! – krzyknęła Wanda.
Zygfryd zaskoczony jej gwałtowną reakcją, najpierw szeroko otworzył usta, które uformowały się w kółeczko, a potem wziął nogi za pas i już go nie było. Jeszcze z ulicy dobiegło do niej jego żalosne: same straty, same straty...
Wanda snuła się po pięknych pokojach swojego olbrzymiego domu. Smutniała i dotykając kosztownych przedmiotów, powtarzała: – Cóż mi po tym wszystkim? Pewnie zawsze będę żyła w dostatku, ale to nie daje mi szczęścia. Tak bardzo pragnę kogoś kochać i być naprawdę kochaną...
Mijały kolejne miesiące. Któregoś dnia wybrała się Wanda na spacer. Pierwsze podmuchy wiosennego wiatru nastroiły ją bardzo melancholijnie. Długo szła przed siebie, rozmyślając o upływającym samotnie życiu. Nie zauważyła, że słońce zaczęło kryć się za drzewami i zrobiło się zimno.
– Gdzie ja jestem? – zaniepokoiła się. Czowała, że drży i dzieje się z nią coś złego. Z coraz większym trudem stawiała kroki. – Czy ten las nigdy się nie skończy? Ooo, chyba widzę w oddali jezioro... łódkę... zdaje się, że ktoś w niej siedzi?
Zobaczyła jeszcze dużą rybę, złowioną przez rybaka, a potem ogarnęła ją ciemność. Gdy się ocknęła, był jasny dzień. Poślanie, na którym leżała w niczym nie przypominało jej ogromnego, wysokiego łoża. Patrzyły na nią błękitne, śmiejące się oczy młodego mężczyzny. Zaczęła się zastanawiać: „Skąd ja go znam? Aaa, to ten rybak znad jeziora.”
– Nareszcie! – radosny głos młodzieńca dotarł do jej uszu. – Dwa dni na to czekam!
– Na co? – spytała zdumiona.
– Na to, żeby panienska się obudziła!
– Niemożliwe! – wsparła się na łokciach, gdy jednak usiłowała wstać, okazało się, że jest na to zbyt słaba.
– Niech się panienska nie martwi, ja ją uzdrowię, a potem do domu odprowadzę.
– Nie mów do mnie panienska. Mam na imię Wanda.
– Kiedy ja nie śmiem tak mówić. Panienska chyba z jakiegoś znacznego rodu, bo suknia taka strojna...

– Jeszcze raz usłyszę „panienko”, to nie odezwę się do ciebie ani jednym słowem. A suknię przysłała mi kiedyś bogata, daleka krewna. A ciebie jak wołają?

– Janek – odparł młodzieniec.

I Janek pielęgnował Wandę, przyrządzał jedzenie, parzył zioła. Widział, jak powraca do zdrowia i powtarzał z zadowoleniem: – Mówiła zielarka Czarnuszka, że te białe zioła, rosnące pod lasem, będą najlepsze.

Wieczorami, gdy skończyły się wszystkie prace, Janek siadał na zydelku i opowiadał Wandzie o swoim życiu: o nieżyjących rodzicach, o udanych i nieudanych połowach, o samotności, która czasami tak doskwierała, że aż wyć się chciało. A Wanda czuła, że narasta w niej coś dotąd nieznanego i nie wiedziała, czy się przed tym wzbraniać, czy serce swe na oścież otworzyć?

– Janku – powiedziała, któregoś dnia. – Jutro wracam do domu. Twarz chłopaka sposepniała.

– Szkoda – wyszeptał.

– Mieszkam w Wąbrzeźnie. Odprowadzisz mnie tam?

– Oczywiście.

Nazajutrz wczesnym rankiem Wanda opuściła miejsce, w którym zaznała tyle szczęścia. Nigdzie nie było jej tak dobrze. Szli w milczeniu równym krokiem. W końcu Janek zaczął:

– Wiesz, Wando... chciałbym ci coś powiedzieć, tylko nie wiem jak to zrobić? – znowu zaległa cisza. – Trudno mi ubrać to w słowa...

Tak upłynęła im cała droga. Gdy stanęli wreszcie przed domem Wandy, oszołomiony jego przepychem Janek wyjąkał: – Nic tu po mnie...

– Ale co chciałeś mi powiedzieć? – zapytała dziewczyna.

– Nieważne. To ja już sobie pójdę.

– Nie, zostań, proszę – szepnęła niemal błagalnie Wanda. – Czy chciałeś powiedzieć mi to, co ja tobie? Kocham cię!

– Nie żartuj sobie z biednego rybaka, który miał nieszczęście pokochać bogatą panienkę – odrzekł Janek.

– Moje bogactwo jest moim nieszczęściem. A wiesz, właśnie nadeszła chwila, w której chętnie się od niego uwolnię. Poczekaj! – Wanda szybko wbiegła do domu i wkrótce zaczęła wynosić z niego skrzynie pełne kosztowności.

– Chodź, pomożesz mi! – zawołała do Janka, wychylając się z okna.

Aż cztery razy obracali wozem, aby następnie całą jego zawartość zrzucić z mostu do Zamkowego Jeziora. Gdy z posiadanych przez Wandę skarbów nie zostało ani śladu, uszczęśliwiona dziewczyna zarzuciła ukochanemu ręce na ramiona. A co się potem zdarzyło? Odbyło się wesele, a szczęście Wandy i Janka trwało bardzo długo. ♦





POWIAT WĄBRZESKI

O ZAGINIONYCH DZWONACH ZE WSI WRONIE

Pełne niepokoju było serce Jędrka Pasikonika z Nowej Wsi Królewskiej, kiedy to pewnego, listopadowego dnia znalazł się na leśnej drodze wiodącej do Wąbrzeźna. Południe już dawno minęło, ale chłopak wierzył, że przed zapadnięciem zmroku uda mu się dotrzeć do celu. W Wąbrzeźnie mieszkała jego ukochana – jasnowłosa, błękitnooka Zosia. Jędrak jeździł do niej wozem w każdą niedzielę, jednak dzisiaj była środa i wozu potrzebował ojciec – druciarz, który w mieście i okolicy naprawiał garnki i sprzedawał łapki na myszy i szczury.

Ale co sprawiło, że Jędrak postanowił zobaczyć swą ukochaną w środku tygodnia? Sen, dziwny sen... Ostatniej nocy przyśniła mu się Zosia ubrana w białą suknię, stała od niego w znacznej odległości i z tajemniczym wyrazem twarzy wołała:

– Jędrak, Jędrak! Już pora!

Obudził się z sercem pełnym trwogi. „Czy to było pożegnanie?” – myślał zaniepokojony. „Może już pora się rozstać?”



Jędrzek terminował u zduna, który kiedyś wyróżniał go spośród innych czeladników myśląc, że chłopak poślubi jedną z jego siedmiu córek. Kiedy jednak dowiedział się, że ten uderza w koperczaki do jakiejś panny z Wąbrzeźna, zaczął okazywać mu swoją niechęć, a dzisiaj nie chciał słyszeć o zwolnieniu go szybciej z roboty.

Drogę do Wąbrzeźna Jędrzek prawie przebiegł powtarzając:

– Sen-mara, Bóg-wiara.

Stanąwszy przed znanymi drzwiami piekarza Antoniego Baryłki, gwałtownie zakołatał. Nie czekał długo na ich otwarcie.

– Jędrus! – perlisty głos Zosi stał się balsamem na jego serce. – Co ty tu robisz? Czy coś się stało?

– Nie – zawołał uradowany. – Tylko ten sen...

Kiedy opowiedział ukochanej o powodach swego niepokoju, ta roześmiała się serdecznie, a po chwili wyznała:

– Ja dzisiaj od samego rana śpiewałam sobie cichutko: Jędrus, Jędrus już pora na ślub, a ja ci będę wierna aż po grób.

Kiedy uszczęśliwiony chłopak opuszczał Wąbrzeźno, słońce już dawno zaszło za lasem, a niebo zasnuły ciemne chmury. Będąc już na leśnej drodze, myślał tylko o swojej Zosi. Wspominał jej radość wywołaną wizytą, czułe słówka i pioseneczkę, która przywołała go do niej.

– Tak, tak, czas pomyśleć o ślubie, o gromadce miłych dzieci, cudne będzie życie z tą moją Zosią! – wyszeptał rozmarzony.

I w tej chwili usłyszał w górze złowieszcze „kra, kra”.

– Zaraz, zaraz, gdzie ja jestem? – chłopak nie czuł pod nogami twardego duktu, ale grząską ziemię i słyszał trzask łamanych gałęzi. – Jak ja się tutaj znalazłem?

W Jędrku narastała trwoża, potęgowana przez wronie krakanie. Listopadowy chłód przenikał go do szpiku kości. Krążył między drzewami nie mając żadnego pomysłu na zmianę sytuacji. Las otoczył go nieprzeniknioną ciemnością. Chłopak był coraz bardziej wyczerpany. Oparł czoło o drzewo

i w poczuciu bezradności uderzał nim o sypiącą się korę. I wtedy usłyszał dobiegający z oddali dźwięk dzwonów.

– Dzwony? Tutaj? To niemożliwe! – szeptał udręczony. – Może już umieram i idę ku bramie św. Piotra, gdzie witają mnie anielskie dzwony? Tylko, że ja chciałbym pobyc jeszcze tutaj, z moją Zosią...

W górze znowu rozległo się krakanie. Jędrzek rozmyślał: – „Wciąż te wrony... zaraz, zaraz, niedaleko Wąbrzeźna powinna być wieś Wronie. Babcia Anielcia opowiadała mi kiedyś o tamtejszych dzwonach. Podobno przez wieki, nie tylko wzywały one wiernych na msze, ale również ostrzegały przed powodziami, czy pożarami. Jednak ostatni polski właściciel Wronia – Jan Plemiński, robiąc karierę ochmistrza na dworze Michała Korybuta Wiśniowieckiego, oddał majątek pod zarząd Niemca Behna, który doprowadził posiadłość niemal do ruiny. Wtedy też w sposób tajemniczy zaginęły dzwony z kościelnej wieży. Wszyscy mieszkańcy Wronia ich potem szukali i tak straszliwie rozpaczali, że ludzki lament słyszano w Wąbrzeźnie.”

Jędrzek ocknął się z zadumy:

– Ale... ale... ja coraz wyraźniej słyszę ich głos. Co to? Świątełko? Widzę jakąś chatę. Jestem uratowany!

Zdumieni właściciele ślicznego, zadbanego domku, mimo późnej pory, serdecznie przyjęli niespodziewanego gościa. Gdy najadł się do syta przygotowano mu posłanie. Tej nocy przysnił się Jędrusiowi jego ślub z ukochaną Zosią. Gdy prowadził ją do ołtarza, słyszał głos zaginionych dzwonów życzący nowożeńcom:

– Bądź-cie szczę-śli-wi! ♦





SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA WIĘCBORK?

Dawno, dawno temu na wzgórzach nad jeziorem rósł prastary dąb. W jego dziupli żył pewien pustelnik. Studiował on stare księgi i jak powiadali ludzie – posiadał wiedzę tajemną.

Młody rycerz – Mikołaj Zebrzydowski, właściciel okolicznych dóbr, postanowił wybudować nad jeziorem okazały zamek. Kazał drwalom ścinać drzewo. Wtedy z dziupli wygramolił się jego lokator – wiekowy mędrzec i jął prosić drwali, by zaniechali swych działań. Ci spojrzeli pytająco na Zebrzydowskiego, który zaśmiał się szyderczo.

– Czy wiesz, że – zwrócił się do starca. – Już Bolesław Chrobry kazał ścinać takie drzewa, zwane „dziadami”? Podobno czynisz tu jakieś dziwne praktyki, które z wiarą naszą chrześcijańską nie mają nic wspólnego. Znajdź sobie jakieś godziwe zajęcie. A wy – tu spojrzął na drwali – czyńcie to, co wam nakazałem!

Wtedy starzec popatrzył na rycerza nienawistnym wzrokiem i wypowiedział w nieznanym języku kilka słów. Nie budziło jednak wątpliwości, że były to słowa klątwy.

Zaraz po ścięciu drzewa rozpoczęła się budowa zamku. Ale dziwne się przy tym działy rzeczy; a to ktoś spadał z rusztowania, a to zaprawa się nie kleiła. Znakomici murarze aż się za głowę chwyтали widząc, jak zmienia się ona w suchy piasek.



Niektórzy porzucali robotę czując, że nad budową ciąży jakaś klątwa, że sprawcą tych wszystkich nieszczęść jest były mieszkaniec ściętego drzewa.

Razu pewnego dowiedział się Zebrzydowski, że w wiosce Bagienko mieszka pewien człowiek, który potrafi zaradzić różnym kłopotom. Wyruszył więc w daleką podróż, by po trzech dniach i trzech nocach dotrzeć wreszcie do celu. Opowiedział człowiekowi o długiej drodze – stąd nazywano go Długobrodym – o swoim zmartwieniu, przytaczając na koniec słowa klątwy, których wprawdzie nie rozumiał, ale dobrze je zapamiętał.

Mędrzec wysłuchawszy z uwagą tej opowieści, zamyślił się głęboko i wreszcie rzekł:

– Jedną tylko widzę na to radę, musisz zasadzić dwa dęby – jeden o wschodzie słońca w dniu przesilenia letniego, drugi o zachodzie w dniu przesilenia zimowego. Jeśli to uczynisz, zamek z pewnością uda ci się zbudować, ale – tu głos mówiącego na krótką chwilę zatrzymał się, a potem Zebrzydowski usłyszał dość niepokojące słowa – w związku z tym, że skrzywdziłeś człowieka, bo pozbawiłeś go domu, potomków twoich spotka to samo.

Myślał o tym pan Mikołaj w drodze powrotnej, jednak dość szybko udało mu się wyprzeć z pamięci tę niemiłą wiadomość, a pozostawił tę radosną.

– A więc będzie burg (zamek)! – powtarzał kilkakrotnie, zbliżając się do miejsca budowy... Oczami wyobraźni zobaczył wspaniałe zamczysko położone nad pięknym jeziorem.

– A więc będzie burg! – krzyknął na całe gardło, jakby chciał siebie upewnić, że tak musi się stać.

Uczył wkrótce, jak nakazał mędrzec i teraz budowla postępowała błyskawicznie. Widząc rosnące mury zamku, zacierał ręce i wielokrotnie powtarzał: – A więc będzie burg!

Gdy zamek stanął w pełnej okazałości, zaczęto go, jak i całą okolicę, nazywać Więcborkiem.

Mijały lata, dziesiątki lat, minął wiek z okładem. I oto pewnej nocy rozszalała się straszliwa nawałnica. Wytworzona w jej wyniku olbrzymia dziura

w ziemi spowodowała, iż zapadła się w nią południowa ściana zamku. Szalejąca wichura powaliła i dwa dęby, zasadzone niegdyś przez pana Mikołaja, a inne drzewa łamiące się jak zapalki, zdruzgotały ścianę północną i zachodnią. Przez chwile trwała jeszcze ściana wschodnia, ale i ta, z pewnym zdawać by się mogło namysłem, osunęła się do jeziora.

Na zamkowym gruzowisku wyrósł wkrótce bluszcz, o którym opowiadano rozmaite rzeczy – a że to trucizna podsunięta przez mściwego starca, owego pustelnika mieszkającego niegdyś w dębie, a że to siedlisko jakichś straszylek.

Postanowiono ściąć podejrzaną roślinę. Zebrali się wszyscy mieszkańcy Więcborka, a gdy już usunięto ostatni bluszcz i rzucono na wysoki stos, podpalono go. Wszystkim zdawało się, że między długimi językami ognia, a skłębioną roślinnością toczy się jakaś walka. Wreszcie ze stosu został tylko popiół, który nagle ku powszechnemu zdumieniu wzniosł się do góry i poгнаł w stronę wzgórza, gdzie osiadłszy, uformował zamek z otwartą bramą, zakończoną trzema koronami. To niezwykle zjawisko dało początek herbowi miasta. ♦





WŁOCŁAWEK

O SILE OJCOWSKIEJ MIŁOŚCI

Bazylikę Wniebowzięcia NMP we Włocławku budowano ok. 200 lat, w XIV–XVI wieku. Ze znajdujących się wewnątrz zabytków, na szczególną uwagę zasługuje nagrobek biskupa kujawskiego Piotra z Bnina. Wykonał go w czerwonym marmurze wybitny rzeźbiarz rodem z Norymbergi, a związany przez lata z Krakowem i dworem królewskim – Witt Stwosz. Z nagrobkiem tym związana jest taka oto legenda.

Wiele lat temu żył w podwłocławskiej wiosce chłopiec imieniem Aleksy. Włocławek nazywał się wówczas Włodzisław. Aleksy pochodził z rodziny wielodzietnej, więc kiedy tylko podrośł ruszył do miasta, by szukać tam pracy i wspierać kochanych rodziców. Został uczniem, potem czeladnikiem u mistrza kowalskiego Jana. Rzemieślnik chwalił chłopca za jego pracowitość i tężyznę fizyczną, która zdumiewała wszystkich tym bardziej, że Aleksy był raczej skromnej postury.

Mijały lata a Aleksy, ubrany w swój roboczy fartuch i rękawice, codziennie z nie-słabnącym zapalem wykonywał swoją pracę. Kładł na kowadle poddawane obróbce metale, brał w dłonie młotek, by nadać przedmiotowi odpowiedni kształt. Potężny ogień bijący z paleniska oświetlał jego twarz, która nigdy nie była znużona. Spoglądając w stronę wejścia do kuźni, uśmiechał się coraz szerzej, wiedząc, że zaraz ukaże się w nim córka mistrza Jana – Anna, by przynieść pracującym smaczną strawę. Aleksy



już od lat darzył ją gorącym uczuciem, ale wielka nieśmiałość nie pozwalała mu ujawnić tego afektu. Wodził za nią rozmarzonym wzrokiem, a dziewczyna filuternie się doń uśmiechała. Ale razu pewnego zdarzyło się nieszczęście. Od ognia z paleniska zajął się jej fartuszek. Wszyscy patrzyli z przerażeniem, jak groźny żywioł pełźnie coraz wyżej.

– Wody! Wody! – krzyczał przerażony ojciec dziewczyny i nagle... Aleksy nabrał powietrza do płuc, dmuchnął i zapobiegł tragedii. Wdzięczna Anna rzuciła mu się na szyję, a ośmielony jej zachowaniem Aleksy wyjawiał jej swoje uczucie. Wkrótce pobrali się i byli bardzo szczęśliwi. Na świat zaczęły przychodzić dzieci. Po śmierci teścia Aleksy odziedziczył po nim kuźnię. Z upływem lat dorastający synowie przejęli ojcowski fach i coraz częściej wyręczali rodziciela w kowalskiej pracy widząc, że ten niegdyś tak wielki siłacz, z roku na rok staje się coraz słabszy.

Najmłodszym dzieckiem Anny i Aleksego był Józinek. Jego przyjście na świat matka opłacała niemal życiem, a wążle zrazu dzieciątko, chowało się zdrowo. Wszystko go interesowało, w każdą dziurę musiał zajrzeć. Szczególnie upodobał sobie spacerować z ukochanym ojcem nad brzegiem Wisły, podczas których zagadywał rybaków, pytając ich, czy połów się udał. Także ojcowskich opowieści o minionych czasach potrafił słuchać godzinami. Któregoś dnia gruchnęła po mieście wieść, że przywieziono do katedry nagrobek niedawno zmarłego biskupa Piotra z Bnina – Moszyńskiego. Aleksy z synem pojawili się nad Wisłą w chwili, gdy kilku potężnych mężczyzn nakładało na swoje ramiona wielkich rozmiarów nagrobną skrzynię. Zaciekawiony Józinek niespodziewanie podbiegł do idących i wówczas nagrobek gwałtownie przechylił się. Przerażeni gąpie zamarli, sądząc, że on zaraz runie na znajdującego się pod nim chłopca. Ale czyjaś ręka przytrzymała skrzynię, a druga wyciągnęła spod niej Józinka. To były ręce ojca, który w obliczu zagrożenia życia swojego dziecka, znów poczuł w sobie niebywałą siłę. Przy przechyle nagrobka urwała się z niego część pastorału, czyli ozdobnej laski z zakręconą rękojeścią, będącej atrybutem władzy wysokich dostojników kościelnych. Gdy wpadała ona do wody, stojący obok ludzie zauważyli, że zmienia się w złoto i znika w wiślanej toni. Potem niejeden mieszkaniec miasta próbował ją odnaleźć, jednak bez powodzenia. Aleksy tego nie robił, bo swój największy skarb – ocalonego Józinka, mógł nadal każdego dnia tulić w swoich ramionach. ♦



O STRAŻNIKU ŻNIŃSKIEGO RATUSZA

O zdobą Żnina, stolicy Pałuk, jest stojąca na rynku XV-wieczna budowla, zwana Basztą. Była ona kiedyś wyższa o jedno piętro i pełniła rolę ratusza. To właśnie z tego ostatniego piętra miejscy strażnicy obserwowali okolice, by w razie niebezpieczeństwa zaalarmować władze miasta i jego mieszkańców.

Pewnego dnia, do stojącej nad jeziorem Czapple chatki rybaka, przybyła z pobliskiego Żnina pewna młoda kobieta. Odziana w obszerny płaszcz z kapturem, skrywającym niemal pół twarzy, dygotała z zimna i płaczu. Szybko wyjawiała gościnnym gospodarzom, że ma na imię Marta, jest córką żnińskiego cieśli i właśnie została wypędzona z domu.

– Dlaczego? – pytał zdumiony rybak, a jego żona już podsuwała Marcie kubek z gorącym mlekiem.

– Bo...bo... – słowa przychodziły jej z wielkim trudem – jeden z rajców miejskich... zbałamucił mnie, mówił, że zostanę jego żoną. A gdy się okazało, że będę miała z nim dziecko, wyparł się wszystkiego, a ojciec wygnał z domu – z oczu mówiącej płynęły strumienie łez. Marta ukryła twarz w dłoniach. Ciałem jej wstrząsał gwałtowny szloch.

– Nie martw się – żona rybaka położyła na jej ramieniu swoją spracowaną rękę. – Zostaniesz u nas. Nie mamy dzieci. Będziemy traktować ciebie jak córkę.



Niebawem w domu rybaka rozległ się donośny głos niemowlaka.

– Chłopak duży i silny! – wołał uradowany rybak.

Mijały lata. Janek wyrósł na dobrego, grzecznego chłopca, który każdemu spieszył z pomocą. Mimo to często mu dokuczano i nazywano „bękartem”. On te wszystkie upokorzenia przyjmował z pokorą, ale zapewne godziły go w serce. Najprawdopodobniej z tej przyczyny zaczął się jękać. Słyszając docinki pod swoim adresem, powtarzał:

– Jeszcze jeden gu... gu... głupi żart!

Zaczęto więc za nim wołać „Gu-gu!, gugul!”. Z czasem zupełnie zapomniano, jak brzmi jego prawdziwe imię. Byli jednak i tacy, którzy bronili chłopca i piętnowali jego prześladowców.

– Czego od niego chcecie, nieponie? Czy wśród młodych znajdzie się taki drugi uczciwy i pracowity, jak nasz Gugul? – pytali.

Nie więc dziwnego, że gdy w Jeziorze Żnińskim utopił się pomocnik szewca Wawrzyńca, ten przyjął na jego miejsce Janka. I nie zawiódł się na nim, bo robota w rękach chłopaka wręcz się paliła. Ba! Zaczął on nawet podsuwać mistrzowi nowe pomysły, dotyczące sposobów wyrabiania obuwia. Gdy Wawrzyniec słuchał, z jakim zapałem opowiadał Gugul – niestety, to przywilej poszło za nim do Żnina – o możliwości wprowadzenia nowych metod pracy, niepokoił się nieco, że uczeń w fachu prześcignie mistrza.

– Rób to, co ja ci każę – tak kończył każdą rozmowę.

Wawrzyniec był rajcą. Do jego zakładu przychodzili czasami jego koledzy z miejskiej rady i prowadzili z gospodarzem ciekawe rozmowy, dotyczące Żnina. Gugul przysłuchiwał się im z wielkim zainteresowaniem. Poszerzały się w ten sposób jego horyzonty i wiedza o Żninie. Kochał to miasto coraz bardziej. Pewnego dnia Wawrzyniec, który lubił chełpić się swoją znajomością zagadnień miejskich, zapytał swego ucznia:

– A czy ty wiesz, że strażnik ratusza nie tylko obserwuje okolice, ale pilnuje również znajdujących się tam ważnych dokumentów? Schowane są

one w metalowej skrzyni. Najstarszy z nich liczy sobie 600 lat, bo pochodzi z XII wieku, z czasów Bolesława Krzywoustego!

Gugul słuchał opowieści Wawrzyńca z szeroko otwartymi oczami. Od tego dnia zaczęły go trapić bezsenne noce, podczas których wyobrażał sobie, że to on jest strażnikiem tych ważnych dokumentów, że trzyma w dłoniach skrzynkę z bezcenną zawartością, bo przecież w niej spoczywa pismo autorstwa samego księcia Bolesława!

Gugul skończył 20 lat, gdy po mieście rozeszła się wiadomość, że strażnik z ratusza został wcielony do straży arcybiskupa gnieźnieńskiego. Rajcy miejscy ogłosili więc konkurs na nowego strażnika. Zgłosił się również Gugul. Z kilkunastu chętnych, po wstępnych przesłuchaniach, pozostało tylko trzech. Ale tak naprawdę Gugul był bezkonkurencyjny. Nikt nie znał tak jak on historii miasta, nikt nie mówił z takim zapałem. I nikt nie miał wątpliwości, kto ma w sobie największą gotowość służenia miastu.

Gdy kilka dni później nowo wybrany strażnik składał przed radą przysięgę, wszystkich zgromadzonych ogarnęło wzruszenie, słysząc te wypowiedane drżącym głosem słowa:

– Przysięgam, że będę sumiennie wypełniać swoje obowiązki, a w razie zagrożenia nie zawaham się poświęcić życia.

I rzeczywiście z wielkim zapałem pełnił swoją służbę. Codziennie wdrapywał się na piąte piętro swojej samotni, by obserwować stamtąd całe miasto i okolice. Widział rzemieślników otwierających swe kramy, przekupki rozkładające stragany i przybywających na targ chłopów, chcących sprzedać ser, jaja, mleko. A on Gugul miał pieczę nad nimi wszystkimi. Czuwał również nad swymi niedawnymi prześladowcami, którzy nie szczędzili mu niegdyś obelżywych słów. Gdyby miało ich jednak spotkać jakieś nieszczęście, on ich przed nim ostrzeże.

Nadeszło upalne lato 1699 roku. Mimo bezwietrznej, dusznej pogody, strażnik znińskiego ratusza jak zwykle wspiął się ochoczo na ostatnie piętro i zajął miejsce obserwatora. Minęła godzina, może dwie, gdy bezchmurne niebo gwałtownie pociemniało, a potem rozległ się ogłuszający huk. Przez małe okienko znajdujące się na zachodniej ścianie wpadł czarny piorun, który na chwilę pozbawił strażnika

przytomności. Gdy ją odzyskał, poczuł w nozdrzach swąd: ratusz się pali! Trzeba ratować dokumenty!

Drżącymi rękoma ujął metalową skrzynkę. Spojrzał w stronę zachodniego okienka, do którego podchodziły długie jęzory ognia. „Tą drogą nie uratuję papierów. Pozostaje tylko okienko południowo-wschodnie” myślał gorączkowo.

Krztusząc się od dymu, próbował otworzyć skrzynkę:

– Szybko, szybko! – powtarzał. Wreszcie kluczyk przekreślił się w zamku. – Zrobię rulon, ale czym go zwiążę? Wiem, koszulą!

Łzy zalewały mu twarz, dym dusił, ale Gugul działał bez wytchnienia. Resztką wody, jaką miał do picia, zmoczył bezcenne zawiniątko. Zrazu chciał je zrzucić z okna. Wskoczył na parapet i ujrzał na dole, wynurzający się zza ściany ognia, tłum gapiów. Kiedy go zobaczyli, okrzyk zgrozy wydobył się z piersi zgromadzonych. „To oni powierzyli mi ten skarb” – pomyślał, ściskając coraz mocniej rulon owinięty w koszulę. „Dla mnie i tak nie ma ratunku!” Czuł, jak nogi zsuwają mu się z parapetu i jedynym gestem, jaki wykonał, było wzięcie w objęcia cennego pakunku. Gdy runął na ziemię, pochylający się nad jego martwym ciałem żninianie, ujrzeni wychylający się spod klatki piersiowej ocalały rulon.

Kilka dni później odbył się uroczysty pogrzeb strażnika znińskiego ratusza z udziałem burmistrza, rajców i mieszkańców miasta. Wszyscy chcieli pożegnać bohaterskiego, choć niegdyś często wyszydzanego, człowieka, który dowiódł, że dla dochowania przysięgi, gotów był złożyć najwyższą ofiarę – ofiarę swojego młodego życia. ♦





MAŁGORZATA JAROCIŃSKA | Historyczka z pasją i wyborna gawędziarka. W swoim dorobku ma ponad 350 autorskich prezentacji gawęd historycznych i literackich na terenie całej Polski. Opowiada między innymi o polskiej obyczajowości, popularnych Polakach, a także o dużych i małych miejscowościach. Znana z cyklu „Legendy Pomorza i Kujaw”, emitowanego w radiu PiK. Jest filarem Akademii Patriotycznej „GAWĘDA”. W 2016 roku odznaczona została medalem „Pro Patria” szefa Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Legendy na stronach: 4, 14, 19, 23, 27, 30, 35, 41, 45, 54, 57, 61, 66, 71, 77, 82, 87, 92, 97, 115, 119, 123, 130, 134, 138, 142, 146, 152, 156, 160, 163.



KRYSTYNA TRUSZCZYŃSKA | Dziennikarka i przewodniczka wycieczek do krajów języków romańskich. Na co dzień pracuje w Miejskim Centrum Kultury w Bydgoszczy. Zafascynowana zgłębianiem różnorodności świata, lokalnych tajemnic i gawędzeniem o nich. Uważa, że dobre opowieści działają na wyobraźnię i emocje, wywołują łzy lub śmiech, zapadają w pamięć – pokazują rzeczy w nowy, nieznany sposób. Autorka tekstów do publikacji o Polsce, albumów miejskich, powiatowych oraz kulinarnych.

Legendy na stronach: 9, 48, 102, 107, 110.



TOMASZ ŚCIOLNY | Artysta ilustrator, okazynie zajmujący się również grafiką koncepcyjną. Inspiracje czerpie głównie z literatury fantastycznej i komiksów. Absolwent Państwowego Liceum Plastycznego w Zamościu, stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2001 roku, studiował grafikę na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Od kilkunastu lat wykorzystuje media cyfrowe, tworząc ilustracje do gier fabularnych, książek, gier karcianych i planszowych.



Bibliografia:

- Paweł Becker „Wąbrzeźno i Syke” • Rafał Budny „Legendy Strzelna i okolic” • Franciszek Fernikowski „Piernikowe miasto” • Piotr Grążawski „Legendy brodnickie” • Jerzy Kałdowski „Legenda o Duchu Bernarda Szumborskiego”
- Anna Koprońska-Głowacka „Duchy, zjawy i ukryte skarby” • Rajmund Kuczma, Jerzy Derenda „Legendy i przypowieści”
- Dariusz Łubkowski, Marcin Seroczyński „Chełmża – fakty, mity, legendy” • Feliks Malinowski „Legendy Pałuckie”
- Paweł Mikuszewski Legenda o mieczu „Bonum et felicitatem” - praca konkursowa https://gniewkowo.eu/pl/14_kultura/2354_poznaj-legend-o-gniewkowie-kt-ra-wygra-a-konkurs.html - dostęp 10.06.2021 r. • Tadeusz Multański „Diabelski młyn i inne legendy okolic Koronowa” • Włodzimierz Podczaski „Legendy kujawskie” • Marian Przybylski „Spacerkiem po Strzelnie - cz. 35 Rynek - cz. 32; Rzecz o rozbójniku Dąbku” <https://strzelnomojmiasto.blogspot.com/2019/03/spacerkiem-po-strzelnie-cz-35-rynek-cz.html> - dostęp 14.07.2021 r. • Roman Apolinary Regliński „Legendy Borów Tucholskich”
- Anna Sergott „Legendy Krajny Nakielskiej” • Beata Stankiewicz „Legendy i podania Krajny i Pojezierza Waleckiego”
- Radosław Stawski - Legendy spod Bobrowa „Czas Brodnicy” <https://www.czasbrodnicy.pl/czasbrodnicy/7,93191,26291917,legendy-spod-bobrowa.html> - dostęp 10.06.2021 r. • Artur Stolarski „Legendy i ciekawostki z kujawsko-pomorskiego”



wydawca | QUIXI MEDIA

koncepcja wydawnicza | Antoni Bochen

redakcja | Joanna Walentowska

skład DTP | Alicja Rynkiewicz, Dyrta



ISBN 978-83-61840-66-4

Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

Dofinansowano z budżetu Samorządu Województwa Kujawsko-Pomorskiego